CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

Uniwersytet Gdański Biblioteka
02015

NUMER 22 (79) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 1 CZERWCA 1947 ROKU ROK III

Ziemie Odzyskane w twórczości J. Bułhaka

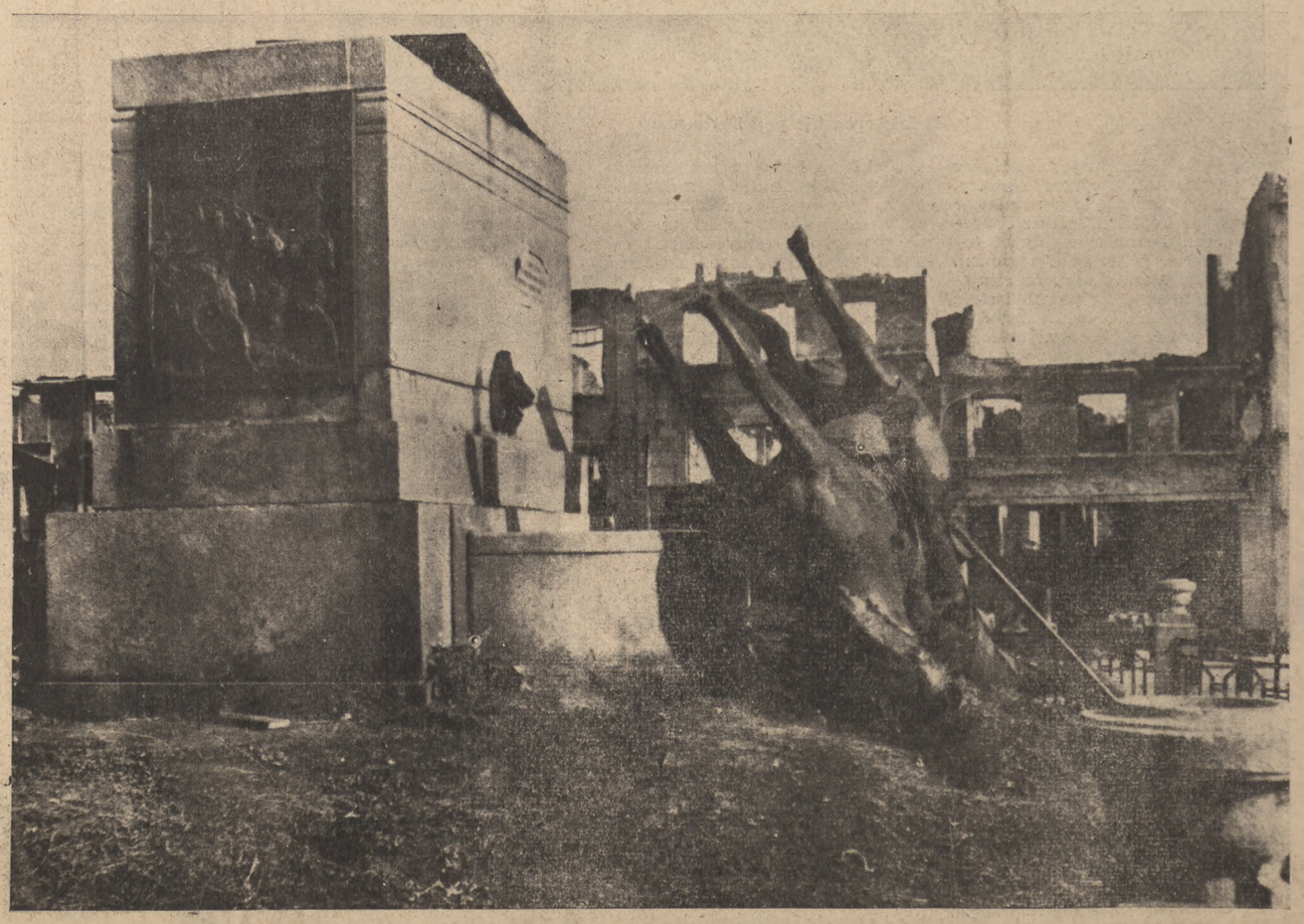

Walą się pomniki pruskiego imperializmu na Ziemiach Odzyskanych. Na zdjęciu zburzony pomnik bitwy z roku 1807 w Licbarku.

Wały Chrobrego w Szczecinie

Ziemie Odzyskane prócz bogactw naturalnych posiadają inne bogactwa, oprócz dolnośląskich kopalń węgla — kopalnie godnych utrwalenia tematów. Nie znalazły one jeszcze dostatecznego wyrazu w sztuce, zabytki Dolnego Śląska i Pomorza czekają na swoich historyków, cudowne krajobrazy Warmii i Mazurów na pejzażystów, zdarzenia na kronikarzy.
Zamiast propagandowych sloganów reprodukujemy kilka fotografii z teki J. Bułhaka.

Wyspa Tumska we Wrocławiu

Wiadukt w Olsztynie

Mazurska droga (Olsztyn)

Fara w Braniewie (Warmia)

Wiatr od morza na odzyskanym wybrzeżu Pomorza Zachodniego

BIBLIOTEKA
DM/IV/52

LUDWIK ŁAKOMY

Na uroczym, polskim morzu

ŁOWIMY RYBY

Łodzie rybackie pod Derłowem

Był świt. Ukryte jeszcze słońce przeświecało przez chmury, gdy korzystając z namiarów wielkich latarń morskich Jackowa oraz Derłowa wypłynęliśmy na sektor północno - zachodni. Przedtem stwierdzono, że ciśnienie barometryczne powoli i stale wzrasta, że od kilkunastu godzin wieje wiatr od morza, otulając płaszczem mgły niziny, rowy i łąki, że obfita rosa wystąpiła na wydmowych „harsztach", — co wszystko razem zapowiada długotrwałą pogodę.

Cisza, morze zupełnie spokojne, ma wygląd zwierciadła. Suniemy w półmroku kursem na Bornholm. Wymija nas motorówka WOP-u. ustowicznie strzegącego północnej granicy Polski na Bałtyku; znajomi żołnierze machają przyjaźnie rękoma i niebawem jesteśmy samotni wśród żywej, migotliwej przestrzeni. podobnej do olbrzymiego, mieniącego się przecudownie płaszcza z modro-pawiowego jedwabiu.

Nasz kuter, to już statek w całym tego słowa znaczeniu, zdolny przetrwać na pełnym morzu nawet bardzo silne sztormy i burze. Zbudowany z drzewa dębowego w stoczni darłowskiej, posiada żelazne wzmocnienie na wręgach. W części dziobowej znajduje się pomieszczenie dla czteroosobowej załogi wraz z kambuzem, czyli kuchnią i spiżarnią. Dalej mieści się obszerna i dobrze pod względem temperatury odizolowana ładownia. Rufową część kutra zajmuje maszynownia z silnikiem spalinowym na olej gazowy o mocy 50 KM i z prądnicą, dostarczającą prądu dla oświetlenia pomieszczenia, pokładu oraz świateł pozycyjnych. Pomocnicze ożaglowanie umożliwia statkowi w wypadku uszkodzenia silnika poruszanie się bez jego pomocy, spełniając prócz tego rolę dodatkowej siły napędowej. Dla ułatwienia manewrowania sieciami, kuter posiada specjalną dwubębnową windę, umieszczoną poziomo przed lukiem maszynowni i napędzaną przez silnik przy pomocy przekładni pasowej. Poza tym w części dziobowej i rufowej umocowane są na pokładzie. przy burtach, pałąki zwane kozłami, a służące do prowadzenia lin sieciowych.

Płuca napawają się falą słonawego powietrza, nieledwie samoczynnie dostrajając się do potężnego oddechu szerokiego świata, tego przestworza bez końca. bez granic, pełnego dziwnych blasków, to jasno-zielonych. to różowych, to ciemno-szafirowych z głębokimi, ognistymi, purpurowymi błyskami. Oczy oderwały się już od wysypanego kamyczkami i piaszczystego, długiego lecz wysokiego strądu, od stromych wydm, suchą, twardą trawą porosłych i od tych sosen nadbałtyckich, niemiłosiernie przez wichry powyginanych. A wkrąg roztacza się życie morza, wspaniałe, pyszne i wolne, o ileż piękniejsze od wiecznego czołgania się w prochu ziemskim.

Milczymy. Rankiem człowiek nie jest zbyt rozmowny, a już zwłaszcza zawsze o czymś myślący rybak, na swój sposób subtelny, bardzo wrażliwy i delikatny. Zresztą każdy członek załogi ma wyznaczoną robotę. — To tylko szczurowi lądowemu się zdaje, że na morzu wolno robić, co się chce, że tam się jest poza wszelką kontrolą, bo ów szczur nie wie. że całe życie morskie ustalają w najmniejszych szczegółach liczne przepisy oraz rozporządzenia, których przestrzegać się musi znacznie ściślej i pilniej, niż przepisów na lądzie.

Patrzę z nabożeństwem, jak starszy rybak śledzi mapę, jak nanosi „kursy" i „pelergi", jak ustala dewiację i deklinację kompasu. Podziwiam, jak zręcznie posługuje się ekierką z kątomierzem, ustawioną na różę kompasowej. Widzę, jak przy pomocy ręcznego logu określa szybkość, a w związku z nią przebytą przez statek drogę. Przyglądam się, jak stosuje sondę zapobiegając wprowadzaniu statku na zbyt płytkie, więc tym samym niebezpieczne, wody. Jak ważne jest dla nawigacji określenie głębokości, świadczą napisy na starych mapach angielskich: „I beseech you, on my knees: Keep your lead going", co mniej więcej oznacza: „błagam cię na kolanach: sonduj!"

Zawód rybaka nie jest łatwy. W trosce o poziom fachowy rybaków Generalny Inspektorat Rybołówstwa Morskiego powołał w dniu 5. XI. 1946 r. pierwszą tego rodzaju w Polsce Szkołę Rybaków Dalekomorskich, której program przewiduje 6 miesięcy zajęć na lądzie i 6 miesięcy pływania na dalekomorskich statkach rybackich. Poza przedmiotami ogólnokształcącymi, jak matematyka, wychowanie społeczno-obywatelskie, języki: polski, angielski i rosyjski, kandydaci na rybaków uczą się o morzu, jako źródle pogłowia rybnego, o sprzęcie rybackim, o statkach, jako jednym z zasadniczych czynników w rybołówstwie, o technice połowów a także ich organizacji, zdobywając zarazem ogólne wiadomości z przetwórstwa rybnego.

Dziś polskie rybołówstwo morskie jest nader ważną gałęzią gospodarki narodowej, która stanie się jedną z dźwigni dobrobytu, zwłaszcza z chwilą nabrania właściwego rozmachu w zakresie połowów dalekomorskich. Jak duże postępy osiągnęliśmy od 1945 r., kiedy istniały zaledwie 3 kutry, 50 łodzi otwartych oraz całkowicie zniszczony sprzęt rybacki, niech zaświadczy fakt, że w lipcu 1946 r. pracowało już 80 kutrów i 750 łodzi, poławiając w ciągu roku 12 milionów kilogramów ryb, wartości około 283 milionów złotych. W skali porównawczej z przedwojenną ostatnioroczne połowy przybrzeżne miesięczne dorównują rozmiarami przedwojennym rocznym. Przypisać to należy większym przestrzeniom połowu oraz nie spotykanym przed wojną rozmiarom łowienia ryb morskich, szczególnie wątłuszy, znanych powszechnie pod nazwą dorszów. Tak w roku ubiegłym jak i obecnie jesteśmy świadkami zjawiska pozornej nadprodukcji świeżej ryby. Wyniki połowów przekraczają mianowicie wielokrotnie zdolność spożywczą Wybrzeża, gdy jednocześnie organizacja krajowego rynku zbytu oraz urządzeń przewozowo-chłodniczych nie może jakoś jeszcze sprostać zadaniu rozprowadzenia wielkiej ilości świeżego towaru. Nadto, odnośnie wątłuszy, istnieje zbyt słaby popyt na tego rodzaju ryby, chociaż są one nieocenionym lecz niedocenionym należycie pokarmem.

Wątroby rybie, głównie wątłuszy, są bardzo bogate w witaminy. W osadach rybackich Skandynawii wiszą wszędzie plakaty głoszące: „Zachowując rybią wątrobę ratujesz życie dziecku..."

Moje rozmyślania przerywa ruch na kutrze. Starszy rybak staje przy windzie, dwaj młodzi „stroją sieć". Kuter zatacza koło, sieć rozwija się półksiężycem, znaczonym pływakami na wodzie.

„Rzucaj!" — pada hasło, a sieć znika.

Hole rozwijają się z bębnów, starszy rybak wykrzykuje kolejno marki, znaczące długość liny. Ostatnia. Załoga ściąga razem hole i rozpoczyna się tratowanie.

Co będzie? Ile da pierwszy wyciąg? Czy obejdzie się bez zaczepień i rozdarć sieci? — oto pytania, które podniecają załogę, oto myśli, które dodają jej sił.

Jesteśmy już dawno poza wodami terytorialnymi Polski, czyli poza zasięgiem pocisku z działa, wypuszczonego ze stradu. Słońce przypieka, leciutki wietrzyk chłodzi, morze spokojne i ciche, ponad szaro - burym pasem na widnokręgu unoszą się perłowe chmurki.

Olbrzymi, nie objęty wzrokiem przestwór, świecący, aż oczy bolą. Lśni wszystko. I woda, kołysząca się spokojnym, równym, głębokim oddechem i mżące nad wodą powietrze, rozgrzane słońcem — jeden wielki, olśniewający blask.

Ciągnij!" — podrywa mnie rozkaz. Oczy załogi śledzą powierzchnię toni.

Pełno ryby! Sieciowy wór — duży włok ze skrzydłami, ciągnięty dotąd kutrem po dnie — wzdęty jak balon, nagle wyskakuje pod burtę. Bieli się w nim moc wątłuszy. Ręce załogi wpijają się w sieć, trzeszczą stawy, gną się kręgosłupy. Ładownię na pokładzie napełnia drgająca masa ryb. Pachnie od nich jodem i morszczyzną. Nic to, że palce krwawią, że potem nasiąkają ubrania, że zimna woda bryzga w twarz; oczy świecą radością, bo jest ryba, w sieci znajduje się dużo, dużo ryb.

Ach, jakiż to trud brać udział w połowie, lecz co za rozkosz patrzeć w ten żywy, ruszający się rytmicznie przestwór — doprawdy, niebu równy!

... Silniejszy podmuch dotąd uśpionego wiatru załopotał w żaglach...

„Idzie „zyda-sztrom" — mruczy starszy rybak.

To prąd południowy. Jak się spotka z północnym, morze zacznie się burzyć. Wszystko to powoduje wiatr, będący wszechpotężnym, tajemniczym, nieobliczalnym Panem (przez duże p) morza.

Południowy, „zyda — rybacka bieda..."

Wschodni, „ost — rybacki trost", tj. pociecha...

„Norda — poprawi albo pozbawi."

„Patrz rano niebożę, jaki wiatr na morzu."

Zawracamy. Starszy rybak niespokojny. Prognoza meteorologiczna, zapowiadająca długotrwałą pogodę, może okazać się zawodna. Może się wszcząć burza na morzu, a my jesteśmy dość daleko od strądu.

Burza na morzu, tak prześlicznie i groźnie ujęta w strofach Damrotowego wiersza, wcale nie ma związku z burzą na lądzie. Podczas burzy na morzu słońce częstokroć cudnie świeci na lazurowym czy perłowym nieboskłonie, deszcz nie pada, a jeśli nie ma zimnego wiatru, to małe dziecko można wyprowadzić na przechodzkę. Nie ma również grzmotów ani piorunów, nie widać błyskawic, nie chłoszczą ulewy, ani grad, tylko — morze się wścieka.

Wstaje fala, więc trzeba przerwać tratowanie. Silnik znowu jazgocze.

Zawracamy. Bierzemy kurs południowo-wschodni, przekonywując się na własnej skórze, że na morzu rano tak, w południe inaczej — zależnie od wiatru!

Bo „fajn wiodro" — ładna pogoda jest nie wtedy, gdy słońce pięknie świeci, lecz kiedy jest wiatr pomyślny, a niezbyt duży i kiedy ma się nadzieję na dobry połów. Wówczas „pogódka jest okrutnie śliczna", choćby deszcz padał, a czarne chmury wisiały nad morzem tak nisko, jak strop nad górnikiem w kopalni.

Płyniemy tak szybko, jak na to pozwala nam obciążenie kutra. Starszy rybak wzdycha, aby nas prąd nie zniósł na obszary zaminowane podczas ostatniej wojny. Przez obszary te wytyczone są mniej lub więcej bezpieczne przejścia, do których trafić w trakcie burzy nie łatwo. Wiadomo nam, że wpłynięcie do portu darłowskiego nie nastręcza trudności, o ile się pamięta, że obszar zagrożony kończy się mniej więcej na zachód od południka latarni morskiej Jackowo.

Pocieszyło mnie, że wiatr przycichł, a w powietrzu zapanował zupełny spokój. Lecz morze burzyło się coraz więcej, fale rosły na coraz to większą wysokość, w końcu bryznęły raz i drugi na pokład, oblewając nas tak sowicie, że przemoczone ubranie przylgnęło do ciała.

Jeszcze raz nadbiegła wielka fala, pchnęła nas do przedporcia, silnik znów zatarkotał i oto zmoczeni i zziębnięci wpłynęliśmy na nieco spokojniejszą toń rzeki Wieprza.

Poza nami szaleje, rozbijając się o mola dzikie, złe, zmienne, niebezpieczne, we wściekłości swej niepohamowane i zdradliwe, ale nasze — morze. Jesteśmy jedyną załogą kutra, który tego dnia wypłynął na połów. Ryby przez nas złowione zostaną sprzedane po najlepszej cenie.

Starszy rybak niemal przemocą wpycha mi w teczkę olbrzymiego, chyba 5-kilogramowego wątłusza. Bez słowa ściskamy sobie dłonie, po czym śpieszę do widniejącego w zieleni mego domu, wzdłuż rzeki, śród omglonego i szarego światła słonecznego.

Jeszcze raz rozglądam się po okolicy, w której pragnąłbym już dokończyć reszty dni pozostałego mi żywota. Ze wzniesienia, otoczonego szeroką, nizinną, torfiastą doliną, śledzę urok schludnego rynku i porządnych ulic, dostrzegając zasadniczy rys, przebiegający przez wielowiekowe dzieje Derłowa, pion, w okrąg którego splatały się wydarzenia, kręgosłup miasta, którym jest związek z morzem.

W tym to mieście dokonał dni swego żywota zdetronizowany król Szwecji, Norwegii oraz Danii a zarazem książę ziemi słupsko-sławieńskiej, Eryk pomorski. On, mądry i sprawiedliwy władca, cieszący się wielką powagą wśród swych książęcych krewniaków na Pomorzu Zachodnim, powziął zamysł, by swe potrójne królestwo przekazać wychowankowi Bogusławowi IX, temu samemu, którego wspólnie z synami Jagiellończyka uczył Długosz. On, Eryk, ostatni wiking Bałtyku, zaproponował Jagielle (5. III. 1424) wydanie za swego wychowanka córki królewskiej Jadwigi. Jak pisze Mitkowski: „była to zarazem próba wciągnięcia króla polskiego do frontu przeciw Brandenburgii, gdyż krok ten wymagał unieważnienia zaręczyn Jadwigi z synem margrabiego Fryderyka. Ostatecznie Polacy zdecydowali się dotrzymać słowa margrabiemu mimo obietnic bardzo ponętnych, bo wcielenia do Polski Pomorza słupskiego. W ten sposób spełzła na niczym podjęta z POMORSKIEJ strony próba wcielenia Pomorza słupskiego do Polski."

Eryk, dożywając swych dni na zamku darłowskim, ustawicznie obcował z tutejszymi rybakami słowiańskimi, często wyjeżdżał z nimi na połowy morskie, aż wreszcie w 1459 r. zmarł, a legenda mówi o nim tak wiele, że należy ją podać w odrębnym szkicu.

Ludwik Łakomy.

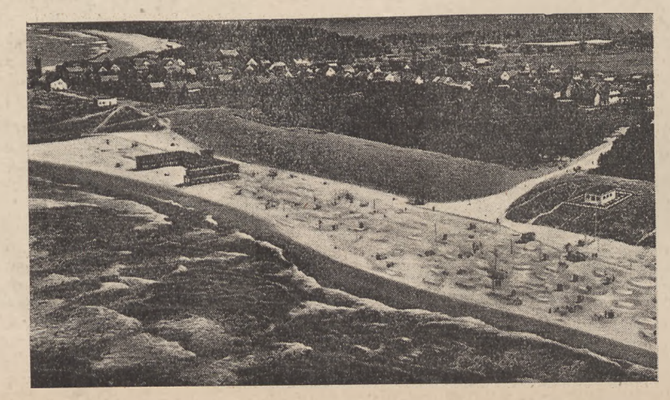

Derłów od strony morza

Perspektywa Odry

Z teki Krystyny Cękalskiej-Baurskiej. Kościół św. Barbary w Bytomiu. Z prawej: Podwórko bytomskiej kamienicy

Ministerstwo Przemysłu i Handlu rozpoczęło już prace przygotowawcze, związane z Wystawą Ziem Odzyskanych, której otwarcie nastąpi 9 maja 1948 roku. Został już mianowany Dyrektor, opracowano też ogólny plan, według którego Wystawa będzie podzielona na dwie części. Pierwsza ma obrazować dorobek gospodarczy, społeczny i polityczny Ziem Odzyskanych, druga zilustruje okres tysiącletnich zmagań polsko-niemieckich. W ramach tej, na olbrzymią skalę projektowanej imprezy, przewidziane są liczne zjazdy i kongresy m. in. pierwszy po wojnie Zjazd Polaków z zagranicy. Impet, z jakim wzięliśmy się do odbudowy zniszczonych terenów nadodrzańskich i dotychczasowe wyniki pracy większości placówek, zwłaszcza gospodarczych i naukowych Wrocławia czy Szczecina, dają powód do sprawiedliwej dumy. Wystawa Ziem Odzyskanych będzie na pewno imponującym wydarzeniem, ale...

...Mówiąc stylem pozbawionym zbędnych ozdób: chodzi o człowieka. Cyframi, wykresami i tablicami możemy imponować każdej chwili. Zaludnienie i zagospodarowanie, wydobycie i produkcja, wzrastająca z miesiąca na miesiąc, cyfry... cyfry... cyfry... Wszystko to — bez przesady — osiągnięcia wielkie. Ale ilu wymagające od człowieka Ziem Odzyskanych wyrzeczeń!

Szkoda, że tak mało uwagi poświęca się istotnym bolączkom, szkoda, że prasie warszawskiej, łódzkiej czy krakowskiej wystarczą cyfry. A warto, od czasu do czasu, przejrzeć działy informacyjno-kronikarskie pism dolnośląskich, które rojąc się od wiadomości, zasługujących na uwagę władz centralnych. Ingerencja lub choćby tylko kontrola „czynników wyższych" jest w wielu wypadkach niezbędna. Myli się, kto sądzi, że nie ma już tzw. szabru, że zlikwidowany został bałagan, utrudniający poważną i pełną poświęcenia pracę ludzi dobrej woli. Zwłaszcza mniejsze, oddalone od ośrodków dyspozycyjnych miejscowości, cierpią ciągle jeszcze na powojenne choroby zwane „szabrem" i nieodpowiedzialnością miejscowych kacyków".

Oto przykład:

„Przy ul. Popławskiego stoją trzy domy: nr 988, 776 i 599. Wszystkie trzy są (a raczej były) zajęte przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. A raczej należało by powiedzieć — przez jakiegoś urzędniczynę tego ministerstwa. Wszystkie trzy domy stoją nieczynne przez cały rok! Żaden żywy duch, z wyjątkiem złodziejaszków, domów tych nie nawiedził...

A gmina? Zarząd Uzdrowiska?

Nie lepiej „gospodaruje" Urząd Wojewódzki Łódzki. Przed rokiem zajął dwa domy: „Starościankę" i „Wojewodziankę". Domy duże, ładnie urządzone i umeblowane. Obydwa domy cały rok są nieczynne! Nikt o nie się nie troszczył i nie troszczy. Urząd się ich nie zrzeka, po salach hula wiatr i szabrownicy. Rozmontowano i wyszabrowano nawet parowy kocioł..."

Prawda, że interesujące. Ale czytajmy dalej:

„Pracownicy Zarządu Uzdrowiska stwierdzają niedawny stosunkowo fakt oszabrowania dużej willi „Partyzant" przez jakiegoś przyjezdnego. Dobry przykład dla obywateli! Nie ma co...

Jak taki dom obecnie wygląda? Wchodzimy do oszabrowanego budynku. W korytarzach i salach sterty śmieci i brudu. Wszystkie obrazy i inne użyteczne przedmioty są powykradane. Drzwi pootwierane lub w ogóle powydzierane. Lepsze meble wyszabrowane, gorsze jeszcze są. Piecyki powydzierane, przewody elektryczne również. Bez wkładu kilkunastu tysięcy w żadnym wypadku tych domów nie można zamieszkać. A jeszcze niedawno były tu luksusowe mieszkania..."

Cóż na to Zarząd Gminny? A starosta jeleniogórski? A wojewoda? A... Ale przenieśmy się do innej miejscowości:

„Pięknie położone miasteczko Ziębice w powiecie ząbkowickim, znane z wielkich zakładów ceramicznych, cukrowni, fabryki konserw, browaru i innych zakładów przemysłowych, posiada salę teatralną, będącą pod zarządem Spółdzielni Pracowników Państwowego Browaru w Ziębicach przy ul. Kurkowej 4. W sali tej zespół Teatru Ludowego z Ząbkowic Śląskich daje szereg przedstawień cieszących się zawsze wielkim powodzeniem. Ostatnio po uprzednim zamówieniu sali zespół teatralny przybył celem wystawienia komedii pt. „Gobelin" Zalewskiego. Lecz cóż się okazało? Kierownictwo Spółdzielni dopuściło do takiego zdewastowania sali, iż przedstawienie odbyć się nie mogło. Cała instalacja światła elektrycznego uległa zniszczeniu, wszystkie bezpieczniki, żarówki (nawet kontakty), skradziono lub poniszczono.

Przecież ktoś ponosić musi za to odpowiedzialność! Kierownictwo Spółdzielni Pracowników Zakładów Państwowych nie powinno było dopuścić do zniszczenia sali, będącej ośrodkiem krzewienia kultury i sztuki. Każdy zainterpelowany w tej sprawie rozkładał bezradnie ręce. Lecz tu nie wolno rozkładać rąk!"

Ależ naturalnie, że nie wolno. Trzeba nie tylko ukarać winnych, ale przede wszystkim uzdrowić miejscowe stosunki, aby w przyszłości podobne afery nie miały miejsca. I to jak najprędzej. Jeszcze przed otwarciem Wystawy Ziem Odzyskanych.

Brutus

JAN NIKODEM JAROŃ

Wojsko św. Jadwigi

(Fragment)

ŚW. JADWIGA

Podąży hufiec mój, wskrzeszone duchy
Przez śląskie miasta i przez śląskie wsi.
W podziemiach roi się: to śląskie druhy,
Co za ojczyznę nie skąpili krwi.

KONRAD

W podziemiach stoi huf gotów do boju.
Na trwogę bije dzwon, wrogom na zgon.
Rycerzom złoty blask błyska od stroju,
Migoce tysiące słońc przed Boży tron.
Rycerzom złoty blask od stroju błyska,
W prawej świeci miecz: hej, wrogi, precz!
W źrenicach tysiąc gwiazd: to męstwo tryska;
Mrzeć, nie uchodzić wstecz: to druhów rzecz.

ŚW. JADWIGA

Jak z purpurowej krwi tryumf się rodzi,
Waleczny hufiec mój, śpiesząc na bój,
Zorzą wschodzących słońc mój Śląsk odrodzi.
Już idzie duchów rój — i ty się zbrój!

HENRYK (wydobywając miecz):

Niech więc zapłonie blask mojego miecza:
Jam uzbrojony już siedemset lat!
Przed wrogiem duchów rój Śląsk zabezpiecza:
Strzec idzie śląskich chat rycerstwo kwiat!

Przegląd prasy niemieckiej

Rhein-Neckar Zeitung

Artykuł poniższy zatytułowany „Die Grenzstadt Zittau", jest dowodem rozpaczliwej propagandy Niemców w obawie przed dalszymi rewindykacjami na rzecz państw sąsiednich. Jest rzeczą zrozumiałą, że przedstawiono w nim istniejący stan rzeczy w sposób tendencyjny i nieprawdziwy, a odpowiadający sferom niezadowolonym z reform społeczno-gospodarczych, przeprowadzonych konsekwentnie w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Heidelberg (str. amer.)

Dwie i pół godziny trwa podróż pociągiem osobowym z bardzo zniszczonego Drezna do oddalonej o 80 km Żytawy, miasta na wschodzie Saksonii; miasta, które w pierwszej chwili jawi się przybyszowi jako spokojna, beztroska wysepka, albowiem Żytawa przetrwała lata wojny bez jakichkolwiek zniszczeń. Na ulicach stale panuje ruch i życie, gdyż Żytawa gości dzisiaj wielu wysiedleńców i uchodźców, szczególnie z okolic Reichenberg - Gablonz i części powiatu żytawskiego, pozostającej pod polską administracją. Mundury rosyjskich żołnierzy nie pojawiają się od pewnego czasu w ogóle na mieście. Tylko komendantura znajduje się jeszcze w Żytawie. Dawniejsza ulica Dworcowa (Bahnhofstrasse) nazywa się teraz ulicą Wolności (Strasse der Einheit). Zwykle żywa komunikacja autobusowa ustała z powodu braku opon. Trasa kolejowa z Żytawy do Zgorzelca (niem. część) wiodła miejscami przez teren, administrowany przez Polskę. Przejazd niemieckich pociągów przez tereny pozostające pod polską administracją, został jednak potem przez polskie władze zakazany.

W Żytawie panuje obecnie przygnębienie, które chyba jest główną cechą dzisiejszych miast niemieckiego zagranicza. Czy zostaniemy przyłączeni do Czechosłowacji? Jaka będzie po ustaleniu pokoju niemiecka granica na wschodzie? — To są trwożne pytania, które stawiają sobie mieszkańcy. Utrudniona jest bowiem możliwość wyrobienia sobie własnego zdania o wypadkach naokoło, a to z tego powodu, że Żytawa posiada tylko jedną gazetę, mianowicie: „Lausitzer Rundschau".

Żytawa, która przed wojną miała 39.000 mieszkańców, ma ich dzisiaj około 45.000. Tylko 168 spośród nich jest Czechami. A w całym powiecie żytawskim, który obejmuje bodaj 150.000 ludności, ogólna liczba Czechów wynosi 300. Żądanie Czechosłowacji, że ludności czeskiej na tym terenie musi być umożliwione przyłączenie, znajduje wśród mieszkańców taki oddźwięk: Dla Czechów, którzy jeszcze wśród nas mieszkają, znajdzie się z pewnością dość miejsca tam, gdzie dawniej mieszkali Niemcy, mianowicie w okręgu Sudet. Wypadki, które zdarzyły się w obrębie pogranicza bezpośrednio po wojnie, sposób wysiedlania i wiele innych spraw, zostawiły po sobie wśród ludności niemieckiego pogranicza nastroje, które nie mogły pozostać bez wpływu na bieg rzeczy.

Tak urabia się życie w dzisiejszym mieście niemieckiego pogranicza. Niepewnie i bez jasnego spojrzenia w przyszłość żyje jego ludność, a skutkiem tego jest brak wszelkiej przedsiębiorczości. Nikt bowiem nie wie, czy jutro przez nowe ustalenie granicy nie zostanie mu zabrane to, co sobie dzisiaj zapracował. Mieszkańcy nie mogą oswoić się z myślą, że na południe i na wschód od ich miasta, nie ma już istnieć nic, czemu na imię: Niemcy. A kiedy się z tymi ludźmi mówi o Polsce albo o Czechosłowacji, ma się wrażenie, że są to odległe kraje. „Tam w tyle, w Polsce" — powiadają i mają na myśli obszary, które teraz już zaczynają się na skraju ich miasta i które do niedawno stanowiły część ich bliskiego otoczenia.

Konkurs literacki

W numerze 6 tygodnika „Sport i Wczasy", który ukazał się dnia 19 maja, ogłoszony został z inicjatywy TS Wisła wielki konkurs literacki na dzieła o tematyce sportowej, dostępny dla wszystkich pisarzy polskich. Konkurs przewiduje trzy pierwsze nagrody:

1. TS Wisła, w wysokości 100.000 zł za powieść,

2. Tygodnika „Sport i Wczasy" w wysokości 75.000 zł za tom nowel, opowiadań lub reportaży,

3. „Dziennika Polskiego" w wysokości 75.000 zł za tom wierszy.

Termin nadsyłania prac na adres redakcji „Sport i Wczasy" w Krakowie, ul. Wielopole 1, upływa z dniem 31 grudnia br. Bliższe szczegóły i regulamin konkursu ogłasza tygodnik „Sport i Wczasy", który nabyć można we wszystkich punktach sprzedaży czasopism.

Gościna pisarzy czeskich i słowackich w Polsce

WACŁAW RZEZACZ

PRZEŁOM

Wacław Rzezácz

Powieść niecodzienna przede wszystkim z racji niezwykłej, rzadkiej formy: życie autora splata się ściśle z życiem postaci pisanej powieści. Faktura jest łączna: czasem część zdania odnosi się do spraw osobistych autora, część do przeżyć i akcji powieści. Osoby powieści chwilami zdają się być dobrymi znajomymi, spotykanymi codzień przez autora ludźmi. Tło życia autora staje się bezpośrednim tworzywem książki, sytuacje i sceny zazębiają się i zwierają. Obrazy i opisy naturalistyczne, pogłębione spojrzeniem z boku i retrospekcją autora.

Główny wątek powieści: trudne życie powieściopisarza, wątek tworzonej przez niego powieści: życie i kariera młodego aktora, życie niejako teatru i jego więź z codziennością.

Ponieważ autor powieści wprowadza sylwetki utworu powoli, jakby nieznacznie do akcji swego — powiedzmy — pamiętnika, w wycinku okazało się konieczne zastosowanie znaków oddzielających części dwojakiej kompozycji, gdyż w innym razie rzecz byłaby całkowicie niezrozumiała dla czytelnika. W całości książki nie jest to stosowane przez autora, ani też konieczne.

Psychologicznie książka jest żywa, wierna, konsekwetna i bardzo naturalna. Język twardy, zdania długie, w dużej ilości skomplikowane, dużo formy biernej. Proza zwarta, jędrna, obrazowa. Przy dużej skali psychologicznych chwytów zachowana niezwykła naturalność i prostota obrazów. Przytaczamy jej fragment w przekładzie Jadwigi Bułakowskiej.

Baroch wyszedł z teatru — dzień był taki właśnie jak dzisiaj — niskie chmury, gwałtowne uderzenia wiatru, przelotne deszcze i kłęby kurzu, toczące się po ulicach. I chociaż była taka pogoda, która zagania ludzi do domu, jednak na chodniku przed tylnym wyjściem stały jak zwykle gromadki ludzi. Baroch wyleciał w rozpiętym palcie i rozpiętej marynarce, z wygniecionym, podobnym z kształtu do rondla, kapeluszem w ręku. Potężna, czerwona, łysa głowa lśniła jak miedziany kocioł w matczynej kuchni. Przystanął na skraju chodnika i spojrzał przed siebie jak człowiek, który nie wie, w jakim ma iść kierunku.

Ludzie dokoła kłaniali się. Nie odpowiadał. Na czole i łysej czaszce osiadły kropelki potu. Wyciągnął olbrzymią chustkę do nosa; skoro je otarł, wstrząsnął się cały z zimna, bo na ich miejsce upadło kilka kropli deszczu, które wytrząchnął z chmur jeden z tych głupich wichrów przelotnych. Przywołały go do przytomności, ruszył ku ławce na Ostrowie.

* * *

Cisnąłem z pasją kartkę, która mi się nawinęła pod rękę. Gdzie jest początek i przyczyna tej sceny? — pytam się. Przecież ten stary tłuścioch nie bez jakiegoś powodu wypadł z teatru taki rozwścieczony, czy też wstrząśnięty niemal do nieprzytomności...

* * *

Dziś rano rozstrzygnięto w dyrekcji, że po pełnym sukcesu wystawieniu Antygony, reżyser Horak zaagażowany zostanie na stałe — jak się tego domagała większość prasy — i że będzie mu zlecone wystawienie Makbeta, czyli właśnie jednej z tych sztuk, które Baroch uważał za swą niepodzielną domenę.

Gdy mu to dyrektor oświadczył, Baroch w pierwszej chwili zbladł a potem zczerwieniał tak, że dyrektor przeraził się: szybko nalał z karafki wody do szklanki i pospiesznie go wypił. Baroch gwałtownie odtrącił wyciągniętą rękę, woda wylała się, zalewając papiery na stole. Dyrektor przygryzł dolną wargę. Lecz człowiek ten dostał się na swe stanowisko głównie dlatego, że umiał doskonale opanowywać swe uczucia i nie zdradzać się ze swymi myślami, że wiedział doskonale, jak z kim i w jakim wypadku postąpić.

— Trzymajcie sobie tę wodę — warknął Baroch — mnie jeszcze tak zaraz szlak nie trafi.

Dyrektor zaczął chusteczką osuszać zmoczone papiery, od chustki rozchodziła się orzeźwiająca woń wody kolońskiej. Baroch tymczasem już opanował swój atak wściekłości do tego stopnia, że udało mu się powrócić do zwykłego tonu, w jakim zazwyczaj rozmawiał z kierownictwem teatru. Zmusił się nawet do tego, że zaczął pomagać dyrektorowi zacierać ślady pogromu, jakiego dokonał.

— Przepraszam — tłumaczył się najuprzejmiejszym głosem. — Myślę jednakże, że pan dyrektor rozumie moje wzburzenie. Przecież to wygląda zupełnie na wchodzenie w zakres moich kompetencji i mego repertuaru.

— A dlaczego pan to tak właśnie rozumie? — odparł dyrektor. — Przecież nie możemy stale tamować dopływu młodszych sił. Zwłaszcza, że pan Horak pokazał w Antygonie, że coś umie.

Baroch zmarszczył się.

— Ciekaw jestem, jak obsadzi główną rolę. I wyobrażam sobie, jakie powstaną trudności, gdy sztuka przejdzie w inne ręce.

— Owszem, trudności były, ale pan Horak chce zatrzymać pana Haba.

Baroch poczuł, że poci się wszystkimi porami tłustego ciała. Podniósł prawą rękę, wsunął ją za koszulę i począł rozcierać lewą pierś, pod którą rozdygotały się śpieszne, nieprawidłowe uderzenia. Zreflektował się jednak szybko i zaniechał masażu, który przynosił mu zwykle ulgę i łagodził kurczowy ból w okolicy serca.

— I Vil oczywiście odmówił — wykrztusił wreszcie, jakby pragnął przekrzyczeć odpowiedź przeczącą.

A dyrektor z nią zwlekał. Głaskał lewą ręką gładkie i tępe ostrze noża do przecinania papieru i rozważał. Oczywiście: on nie jest zdrów, ale jak się już raz krytycy do niego zabrali, będą mącić coraz dalej i coraz gorzej.

— Mnie się wydaje, panie reżyserze — ciągnął powoli, przeciągając starannie słowa — że pan nie jest dostatecznie poinformowany. Jak pan myśli: kto pomagał panu Horakowi dostać się do nas, do teatru?

Baroch musiał przeczekać bolesny skurcz serca, zanim mógł odpowiedzieć.

— Przecież chyba nie jego zasługi.

Dyrektor zacisnął usta, pragnąc podkreślić, że nie zgadza się z opinią Barocha i że nie chce z nim polemizować.

— Mam dokładne informacje — oświadczył — że ten pan dyrektor Hula, teść Haby.

Cios był mocny, ale była to oczywista prawda. W dwa miesiące mniej więcej potem, gdy porozumiał się z ojcem, Vil ożenił się z Anką. Baroch był mu świadkiem do ślubu. Wyświadczył mu tę przyjacielską usługę w tym momencie, gdy pan Zygmunt Hula przeprowadził już zaangażowanie Horaka do Teatru Narodowego.

6.

Gwałtowna ulewa bębniła w wysokie, wychodzące na rzekę okno kancelarii Barocha, ciężkie

łzy deszczu spływały po brudnych szybach. Prążkowany ich smugami świat, złożony z biegnących nisko, kłębiastych chmur i bezlistnych koron drzew, wyglądał bezkresnie i beznadziejnie.

Baroch siedział za stołem tylko w koszuli, chociaż w teatrze nie palono w piecach, a w pokoju czuć było wilgoć. Odrzucony krawat zwisał żałośnie ze stosu rękopisów sztuk teatralnych, niedopałki z cygar jeżyły się w pełnej po brzegi popielniczce. Baroch bardzo rzadko pozwalał sprzątać u siebie.

Gdy ujrzał go tak siedzącego, Vil od razu domyślił się przyczyny, dla której Baroch kazał go sprowadzić. Zrobiło mu się bezwiednie żal i jego, i siebie, i całego tego głupiego świata, którego obaj są częścią a któremu na imię teatr. Po raz pierwszy chyba w życiu przyszło mu na myśl, że i tutaj dzieją się rzeczy, które są nie czym innym jak grą, że i tutaj mogą ludzie wystawiać swe własne, nigdy przez nikogo nie pisane dramaty, że nieraz nieoczekiwanie dostają role, do których nie ma ani konstrukcji, ani tekstu. Spróbował więc jak zwykle dopomóc sobie grą, przybrał przyjacielski, swobodny ton, jakim posługiwali się zawsze poza zasięgiem teatralnych uszu.

— Bary — zaczepił go przyjacielskim skrótem, który malował Barocha, dość jednostronnie zresztą jak poczciwego psa-Saint-Bernarda — błagam cię, załóż że marynarkę. Wystarczy spojrzeć na ciebie, by się przeziębić.

Baroch z cygarem w ustach i wsuniętą za koszulę ręką nie zmienił wyrazu twarzy. Małe oczka, skryte zazwyczaj w pulchnościach twarzy, były jakby większe i bardziej ludzkie. Zagasła w nich kpiąca złośliwość, w spojrzeniu wisiał jakiś ciężar, coś jak w spojrzeniu ludzi, których lekarz uprzedził o bliskiej śmierci.

Vil się przeraził, wcale nie dlatego, by miał się Barocha bać, tylko przyszło mu nagle na myśl, że zapewne i on będzie tak kiedyś siedział jak Baroch, jak siadywał i Palas — w bezsilnej świadomości, iż zagnano go w ciasną uliczkę, z której nie ma już wyjścia.

— Siadaj, Vil — zagabnął go Baroch powoli, lecz bez zwykłych żarcików. Gdy Vil zapadł głęboko w stary, skórą kryty klub, pochylił się nad zawalonym papierzyskami stołem i rzucił takim tonem, jakby wierzył, że w ostatniej chwili spotka go akt łaski: — Czy to prawda, że będziesz robił Makbeta z Horakiem?

— Słuchaj no, Bary — zaczął Vil, patrząc błagalnie w pełne niepewności oczy tamtego — przecież to nic nadzwyczajnego. Nieraz już grywałem z innymi reżyserami i nigdy nic nie miałeś przeciwko temu.

Ręka Barocha pod koszulą zwarła się w pięść, lewa zdusiła niedopałek cygara w popielniczce z taką siłą, że cienki ustnik pękł. Potem obie pięści — ciężkie lecz miękkie jak świeżo wyjęte z pieca ciasto — opadły na stół z głuchym plaśnięciem. Vil przerażony wstał: wydało mu się, że chce się nań rzucić — tamten przeciwnie, siedział dalej, wydało mu się, że zacznie krzyczeć, lecz tamten i z tego zrezygnował. Wsunął znowu prawą rękę za koszulę i przechylając się do tyłu wraz z obracającym się, chybotliwym krzesłem, rzekł obcym, zduszonym głosem:

— Idź! Jużeśmy się porozumieli...

Vil ani myślał odejść. Przecież to nie ma sensu: poróżnić się o coś, do czego prędzej czy później i tak przyjść musiało. Dlaczego ten stary człowiek nie chce zrozumieć. Wszyscy patrząc nań, widzą, że już nie może dać rady, a przeciwnie Vil ma przed sobą jeszcze długą drogę sukcesów i sławy. Gdyby był rozsądny, przyjaźń ich mogłaby trwać jeszcze długie lata.

— Widzisz, Bary... Pozwól mi wyjaśnić sobie całą tę historię. Rozumiesz chyba, że najchętniej gram pod twym kierownictwem, ale przecież nie mogę dlatego wymawiać się od pracy z innymi. Przyznasz, że tu chodzi o moją przyszłość... No, i daj rękę na zgodę.

W tej chwili Vil był naprawdę bardzo przejęty powagą swego uczucia. Gdyby ktokolwiek słyszał, to co tu mówił, musiałby przyznać, że w słowach jego dźwięczała szczerość i prawda. Gdyby tylko nie to, że za placami Barocha pomagał Horakowi, że nie przyszedł doń, by w przyjacielski sposób omówić sprawę objęcia roli Makbeta pod innym reżyserem...

Patrząc od tej strony, jego wyciągnięta ręka była ręką Makbeta, podawaną duchowi Banka. Łysy łeb Barocha czerwieniał, jakby mu krew trysnąć miała ze wszystkich por:

— Precz!

Trzasnęły drzwi. Po tym dzikim łoskocie zaległa w kancelarii nieznośna cisza. Baroch rozglądał się dokoła niewidzącymi oczyma, miotany bezsilną wściekłością. Miał ochotę wszystko dokoła tłuc, szarpać, niszczyć, a równocześnie przytłaczały go do krzesła żelazne pięści cierpienia i nieokreślonego strachu. Duszność zaciskała gardło, nie słyszał nic poza dudniącym młotem wzburzonej krwi. Z tego wielkiego pokoju znikło gdzieś całe powietrze, jakby wyssane olbrzymią pompą. Ściany zbliżały się, gotowe przeskoczyć jedna przez drugą, to znów oddalały się, tworząc jakieś nieprawdopodobne kąty odchylenia od podłogi, która gdzieś uciekała. Trzeba stąd wyjść. Trzeba iść i powiedzieć Stasi... Powie jej, jakiego ma przybranego syna, jakiego miał przyjaciela. Zwierzy się jej ze wszystkiego, powie, że już dłużej nie może. Ona poradzi, co robić dalej.

Rozdygotanymi, błądzącymi palcami zaczął zapinać koszulę, wiązać krawat. Gdy wyszedł przed teatr a chłodne krople deszczu upadły na rozpaloną głowę — zapomniał, dokąd chciał iść. Pragnął tylko oddychać, nic — tylko oddychać.

Staruszek z krzywymi nogami, w czapce pracownika miejskiego, który zmiatał z trawników i ścieżek na Ostrowie zeschłe liście, ukłonił mu się z pełną nadziei uprzejmością — Baroch dawał mu czasami złamane cygaro — a potem spoglądał nań z rosnącym zdumieniem, wywodzącym się z dwóch przyczyn. Stary reżyser w ogóle nie zauważył go, co dotąd nigdy nie miało miejsca, a po drugie nie poszedł w stronę budowy, jak zazwyczaj, tylko skręcił ścieżką w prawo, wiodącą ku szczytowi Ostrowa, gdzie u stóp niewielu schodów, prowadzących do rzeki, latem zwykle był wynajem łódek.

Staruszek przestał grabić i z tak baczną uwagą śledził ruchy Barocha, że aż zagasła mu fajka. Po bokach pseudobarokowego podestu schodów stały ławki, na jednej z nich Baroch usiadł. Rozchylił jeszcze bardziej rozpiętą marynarkę i palto, wetknął prawą rękę za koszulę na piersiach, głowę odrzucił do tyłu, wystawiając twarz na deszcz. Staruszkowi, który podsuwając się bliżej ku niemu, krył się po trochu za grubym pniem drzewa, rosnącego na środkowym trawniku, wzruszenie zagwizdało w gardle, w nosie i w fajce. Ale czymże to było w stosunku do oddechu, który ciężkim, urywanym sapaniem dobiegał ku niemu od strony Barocha. Na niedalekim wybrzeżu, na moście, dzwoniły tramwaje, huczały auta, rozzuchwalona dwa tygodnie padającymi deszczami rzeka, mlaskała rozgłośnie w kamieniach nabrzeżnego obmurowania... Staruszek słyszał jednakże tylko tenurywany, coraz cięższy, głośniejszy i chrapliwszy oddech.

Jeszcze dziesięć zaledwie kroków dzieliło go spoza drzewa, za którym się przytaił, od tamtego, gdy Baroch wsparł się obu rękami o ławkę, wstał zataczając się, pochylił się w przód, jakby chciał czegoś się chwycić, i opadł z powrotem na ławkę. Zwalił się bezwładnie, przewrócił ją swym ciężarem, i z szeroko rozłożonymi rękoma, z nogami zadartymi ku górze, spadł z niej na ziemię.

* * *

Zląkłem się tej śmierci, dostrzegłszy przed sobą staruszka na krzywych nogach, w czapce pracownika miejskiego, z fajką w zębach i z grabiami pod pachą. Przyjrzawszy mu się, zacząłem się rozglądać za człowiekiem, siedzącym w rozpiętej marynarce na ławce, chociaż ciął mroźny wiatr i deszcz siąpił ciągle. Dzięki Bogu: nie było go... Ławeczka stała spokojnie na swoim miejscu, głębiej na środkowym trawniku, tkwiło potężne, rozłożyste drzewo.

Zrobiło mi się trochę lżej, ale wrażenie nie przeszło. Co za sens wymyślać takie sytuacje, jakie zawsze mogą się przytrafić, a napełniają człowieka tylko uczuciem grozy. Cóż, pozostaną przy swoim, ot, taka sobie bezcelowa igraszka życia ze śmiercią... Jak się stało, tak się stać musiało, nie wiele ja tu mogę zmienić, choćbym się nawet starał.

Przełożyła Jadwiga Bułakowska.

A. C. NOR

Twarz pełna światła

Powieść z życia chłopów, pisana gwarą z okolic Przerowa koło Morawskiej Ostrawy. Powieść jest pełna życia i jego najwszechstronniejszych przejawów: doskonale zarysowane charaktery chłopów, nieustępliwych i chytrych w walce o zagony, nieskorych do „odpisywania" gruntu dzieciom, uparcie starających się utrzymać władzę nad gospodarstwem w swym ręku i w swym rodzie. Z drugiej strony świetne typy kobiet-kum, plotkujących i nicujących jęzorami każdy najdrobniejszy fakt z życia wsi. Interesują się specjalnie młodymi, ich sprawami sercowymi, zapisami gruntu, wianem itp. Gdy zd. niem ich dzieje się komu w społeczności wiejskiej krzywda — mobilizują „opinię" wiejską i uporczywie, zażarcie pomagają do załatwienia sprawy.

Książka ma w wielu momentach duże podobieństwo do „Chłopów" Reymonta, w innych wypadkach przypomina „Marcynę" Kędziory.

Strona obyczajowa jest potraktowana bardzo wiernie, przedstawia całą godność, siłę tradycji i siłę więzi gromady wiejskiej, występującą w momentach uroczystych bardzo wyraziście.

Rzecz napisana z „pazurem".

Oto frgament tej powieści w przekładzie Jadwigi Bułakowskiej.

A. C. Nor

Marek przeszedł przez obejście, zawarł stodołę; kończył swą pracę. Ale tak się dziwnie wlecze, jakby ranny. To nic nadzwyczajnego: jakoś niezręcznie dźwignął wór ziarna i schwycił go postrzał. Boli go krzyż, nie może się zupełnie schylić. Miał ochotę iść do karczmy, tylko iść tam jak łazarz? O, nie! Jutro, jak mu przejdzie! Dziśby z niego wszyscy pokpiwali: co to za zwierzynę tropił, że tak sobie dogodził?

Stary gospodarz, ojciec, wciąż jeszcze rozgarnia zsypane na kupę wymłócone ziarno. Tyle razy już je brał do ręki i przepuszczał przez palce, sycąc się jego gładką, orzeźwiającą śliskością! Tyle razy już obliczał, jak w tym roku sypie z kopy. Tyle razy już porównywał tegoroczny urodzaj z rokiem poprzednim i ubiegłym, z jeszcze dawniejszymi. Wszystko to ma gospodarz w głowie, nie potrzebuje zapisywać. Marek się już do tego nie nadaje, nie interesuje go to. No, tego roku jest tyle, i więcej — przy najlepszych nawet obliczeniach i porównaniach — nie będzie. Ale sprawdzić wilgotność świeżego ziarna, wsadzić rękę w kupę zboża aż po łokieć, aż po ramię, zakręcić całą stertą — to Marek umie lepiej jeszcze niż sam gospodarz.

Jest wieczór, głęboki, piękny wieczór, pełen wszelkich letnich odgłosów. Wieś jeszcze gwarzy, chaty życzą sobie nawzajem dobrej nocy. Dzień ściemniał w noc, a noc — stojąc na progu — zaczyna się rozświetlać: niedługo wzejdzie miesiąc!

Marek jeszcze nie idzie spać, obolały krzyż wsparł o wóz drabiniasty, stojący pod szopą. Poprzez obejście widać oficynę; o dwa, trzy metry od drzwi okno jest otwarte, można wyraźnie rozpoznać oba jego skrzydła, rozszerzające na tle białej ściany rysunek okiennego otworu...

Dźwignął się, jęknąwszy przy tym, tak go ten postrzał złapał za żebra, powoli, z wysiłkiem wyprostował się, idzie jak połamany, posuwa się po łagodnym stoku od szopy ku domowi. Powinienby właściwie iść do domu, który już zamilkł, usypia. Lecz najniespodziewaniej nagle zmienia kierunek, skręca w stronę oficyny i tego otwartego okna...

Zatrzymał się pod nim, wskoczył na podmurówkę tak, że na pewno było słychać w domu. Obejrzał się w tamtą stronę: ojciec pewnie jeszcze nie śpi i patrzy w tym kierunku z wielkiej izby (napewno się przygląda), obserwuje Marka. Jest dość widno, by z tej odległości rozpoznać człowieka, zwłaszcza gdy jego postać odcina się na tle białej ściany. A Marek wie, jak bardzo ojciec tego nie lubi. Ileż to już z tego powodu było rozmaitych zatargów i swarów! Ileż już z tej racji padło przykrych słów, tak niezwykłych w rodzinie Matlaszków! Bardzo być może, że za chwilę znów otworzy okno i będzie wołał Marka. Dobrze, „niech sobie woła, Marek i tak się nie odezwie, choć by nakaz był najbardziej surowy, głos najbardziej ostry. Marek stawia się ojcu twardo: na niczym mu już teraz tak nie zależy, jak na tych paru słowach pod oknem oficyny, gdzie mieszka Marta...

Podsunął się pod okno, jest dość wysoko, nad głową, wyciągnąwszy rękę dotykiem odnajduje parapet. Nasłuchuje w napięciu. W izbie za oknem jest cicho i ciemno. Może naprawdę śpi...

Marek woła półszeptem:

— Marto... śpisz?...

Wybiega mu naprzeciw cichutki szept Marty. Przecież tu dzieci śpią, nie można mówić głośno, bo się pobudzą. I już jest noc, było by słychać we wsi. Zresztą także i widać ze wsi, jak wejdzie księżyc zobaczą Marka aż z okien stryjka Metodego Valibora. Głos Marty cichnie jeszcze bardziej, gdy perswaduje:

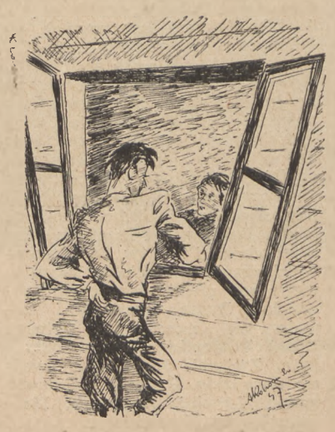

— Marek, poco tu przychodzisz? Wiesz, jak bardzo ojciec tego nie lubi! Widzisz, już parę razy gniewał się o to! Daj ty sobie wreszcie spokój! Daj także spokój... i mnie...

Nie widzi jej, lecz ją słyszy. Zajrzał do izby, rozejrzał się po ciemniejących kątach. Dostrzegł wreszcie Martę: siedzi koło okna, jest ubrana, nie kładła się jeszcze. Widocznie i ona wiedziała, że Marek dziś przyjdzie, skoro nie pokazał się już tyle dni. Kiedyś z początku ogromnie się przelękła, gdy po raz pierwszy Marek zjawił się pod jej oknem, z goryczą i oburzeniem odtrąciła go i robiła mu wyrzuty, na co ją naraża... Teraz widocznie sama go wygląda. Spokojnie i łagodnie strofuje:

— Gdyby tak ze wsi kto zobaczył, coby to było... Wiesz, że ludzie nie wszyscy są dobrzy. Sam wiesz, że już gadają...

Jakby to Marek o tym nie wiedział! Ale czyż to nie lepiej, że stoi tu, na przymurku, pod oknem, skąd i ojciec może widzieć każdy jego krok? Czyż to nie lepiej, że i ze wsi go tu zobaczą — niż gdyby go nie mogli dostrzec, gdyby szedł do jej izby do środka? O, Marek wie doskonale, dlaczego tego nigdy nie zrobi!

Szepce, błaga, nalega, słowa są coraz bardziej rozdygotane, namiętne... Marta musi go upomnieć. Przecież słychać do połowy wsi... A gdyby tak jeszcze szpiegował kto za płotem?...

— Święty Boże! Więc... Marto? No, powiedz...

Co Marek jeszcze chce wiedzieć...

Jedną, jedyną rzecz przypomina Marcie... Swoją miłość... Przez te wszystkie lata nie zmieniła się ani trochę. O tym Marta musi pamiętać! I dlaczego go wciąż odtrąca, odrzuca jego miłość? Nie kocha go? A przecież kiedyś kochała go także... Nie pamięta? Przecież mówiła mu to sama...

Marek mówi **kiedyś** — ale nie może powiedzieć kiedy. Boi się, by nie padło między nimi to imię, drogie i kochane, ale — **teraz już tylko imię.** A przecież oni oboje są ludźmi, żywymi ludźmi, mężczyzną i kobietą... Dlaczego Marta go nie chce? Dlaczego on, Marek, nie może być jej drugim mężem? (Skoro mu nie było dane, by był pierwszym!)

— No, Marto, powiedz...

Oh, Marta ma dość powodów, dość przyczyn... Nie umiałaby nawet wyliczyć mu ich wszystkich do końca. Ale teraz, gdy słyszy te jego gorące nalegania: „A może ja ci nie dość dobry? Może myślisz o kim innym?" — dłużej już milczeć nie może, musi podać choć jeden ze swych argumentów.

— Dlaczegóż miałbyś nie być dobry? Jesteś lepszy, niż każdy inny. To ci mówię, Marku, żebyś sobie wiedział — w głosie jej drga wzruszenie, przełyka łzy. — Zastanów się tylko: mam dwoje dzieci... i więcej nic... tylko tych dwoje dzieci... — Teraz łzy płyną naprawdę, musi na chwilkę zamilknąć. Wspomnienie tego wszystkiego obręczą ściska serce Marty. — A ty... ty, Marku... dostaniesz wielki majątek, wielkie gospodarstwo... A ja co... z tymi dziećmi... jak żebraczka... Już i tak ludziska gadają że mi tylko o te morgi chodzi, nie o ciebie... Tak jak i wtedy gadali, jeszcze jak wychodziłam za Oktawa... I wtedy przecież gadali, że idę za niego tylko dlatego, że ma mu ojciec odpisać majątek...

Zaległa między nimi długa cisza, słychać tylko przyśpieszony oddech Marka i łkanie Marty. Za nimi i w okół nich toczy noc swe tajemnicze szelesty.

W oknie wielkiej izby za zamkniętym oknem stoi stary gospodarz i powtarza sobie w duchu:

— Znowu jest tam u niej, pod oknem, znowu tam...

Ale okna nie otwiera. Widać rozumie, że to nie przydałoby się na nic. Ha, co ma być, to będzie...

Wreszcie Marek niepewnym głosem taką daje odpowiedź na ostatnie słowa Marty:

— Mam ja na to wszystko jedną radę... I po niedługiej chwili dodaje jeszcze: — Dobrą radę...

Nie mówiąc jej dobranoc, ani nie podając ręki, pogrążony w jakichś głębokich rozmyślaniach, wśród których zapomniał o wszystkim, odchodzi.

Mijając zakręt aż jęknął, nogi się pod nim ugięły. Ah, to ten postrzał, zmora!

Marta patrzy za nim, jak rozpływa się w ciemnościach. Jest zrozpaczona. Tego jego nagłego odejścia nie może zrozumieć...

— — — — — — — — — — —

Następnego dnia Marek od świtu był na nogach, pomagał Hanysowi napełniać żłoby. Gdy oporządzili wszystką „gadzinę", kazał wytoczyć spod szopy lekki wóz, pół bryczkę. Jeździło się nią czasem na targ i na jakieś pomniejsze sprawunki. Milczał zachmurzony i zły, twarz jego miała nieprzystępny wyraz. (Może trochę i dlatego, że go jeszcze bolało w krzyżu od tego wczorajszego postrzału. Jakby mu do rana przeszło, ale jeszcze nie zupełnie, dokuczliwy ból tkwiący w plecach odzywał się raz po raz).

Jak wokół garnka z gorącą kaszą krążył stary wśród tych przygotowań, zanim wreszcie kwaśno zapytał:

— Chcesz jechać do miasta?

— Chcę... — odpowiedział Marek, a że był mocno rozeźlony, dorzucił zaraz hardo: — A co, mam was może pytać? — (Właściwie Marek już dawno robił, co chciał i kierował pracą, jak mu się podobało. Tylko gdy odsypiał pijatyki, wówczas stary znowu podejmował gospodarskie czynności, kręcił się po obejściu zły i niezadowolony).

Na odpowiedź Marka stary nie zwrócił uwagi i pytał dalej:

— W parę koni?

— A co z drugiego konia w staji? — odburknął syn.

Stary obszedł wóz i konie niepewnym krokiem i znowu zagabnął:

— To nie ma innej roboty?

— Chociaż jest, może trochę poczekać...

Zuchwałe słowa odpowiedzi nie przyjemnie dotykają i drażnią gospodarza. Kiedyś, dawniej, umiał z chłopakiem zrobić porządek, ale po śmierci Oktawa zostawił Markowi pełną swobodę. Teraz więc może się zdobyć znów tylko na pytanie:

— A to nie mogłeś wczoraj gadać?

W głosie ojca jest coś, co Marka zastanawia. Odpowiada więc zupełnie spokojnie, czego ostatnio nie ma w zwyczaju:

— Nie mogłem, tato, naprawdę nie mogłem... Namyśliłem się dopiero późnym wieczorem...

Chwilę jeszcze marszczą się obaj, wreszcie Marek, czyniąc dalszy pokojowy krok, który ma ojca uspokoić, by mu się ta wyprawa do miasta nie wydała dziwna, dodaje:

— Może jednak wziąć co na targ, kiedy już jadę...

— Nic nie przygotowane, tak odrazu... ton słów gospodarza nie brzmi tak pewnie jak ich treść. Tkwi w nich podświadome jakieś niezdecydowanie. Po chwili stary Matlaszek znów pyta:

— A nie możesz jechać jutro? Toby kobity co przygotowały, nie jechałbyś tak po próżnicy. A cóż ty tam masz za taką sprawę, że jej nie możesz załatwić o dzień później?...

— Właśnie bardzo dziwną mam sprawę, ojcze — chłopakowi w tej chwili głos się załamał, ale to chyba dlatego, że był pochylony, gdyż właśnie dopinał uprząż na Lucy.

I pojechał. Nie mógł już inaczej.

Konie i wóz zostawił w mieście pod „Czerwonym krzyżem", jak to robił zawsze. Było jeszcze dość wcześnie, dochodziła dziewiąta, gdy stanął na głównej ulicy. Zawahał się chwilkę. Czy to nie zbyt rano? No, jeżeli i będzie, to raczej poczeka na rejenta w jego kancelarii.

Przełożyła Jadwiga Bułakowska.

Notatki czeskie

WSPÓŁPRACA LITERACKA

Czesko-polska współpraca literacka rozwija się ostatnio coraz skuteczniej. Poza przekładem „Anhellego" a ostatnio „Dymów nad Birkenau" Szmaglewskiej, wyszedł w tych dniach nakładem praskiej firmy wydawniczej Fr. Borovy wybór poezji polskiej z lat 1938—1945 w przekładach Jaña Pilara. Poza tym Morawskie Koło Literatów przygotowuje wydanie przekładów „Ładu Serca" Andrzejewskiego, „Ugoru" Jana Wiktora i „Żelaznej Korony" Malewskiej. Miesięcznik literacki „Kytice" redagowany przez poetę Seiferta wydał numer poświęcony Polsce, zredagowany przez młodego polonistę praskiego Józefa Rummlera. Zawiera on przekład wygłoszonej w Pradze w zeszłym roku mowy Jana Wiktora, artykuły K. Krejciego, S. Golechowskiego, J. Rummlera i przekład paru wierszy Przybosia.

Ze swej strony w Polsce przygotowany jest przekład czeskiej powieści Józefa Knapa „Winorośl na ścianie" i Wacława Prokupka „Zakryte łzami". Poza tym przygotowany jest wybór przekładów poezji słowackiej, zebrany przez Kazimierę Alberti, która niedawno na łamach dzienników polskich ogłosiła parę przekładów Kostry, Novomeskiego i Smreka.

Obok tego współpraca kulturalna polsko-czechosłowacka rozwija się też drogą odwiedzin i kontaktów osobistych: niedawno bawiła w Bratysławie z odczytem o Biskupinie grupa polskich archeologów, a w chwili, gdy numer niniejszy znajduje się w druku, przybyła do Polski grupa pisarzy czeskich i słowackich. (jr)

SPRAWA MIKOŁAJA SZUHAJA

Przed niedawnym czasem z wielkim nakładem pracy i przy wielkim akompaniamencie propagandy nakręcony był w specjalnie na ten cel wybudowanym atelier pod Pragą (gdzie zrekonstruowano kopię całej wsi karpatoruskiej) czeski film „Mikołaj Szuhaj", oparty na powieści Iwana Olbrachta, znanej u nas z przekładu niezapomnianego Hulki Laskowskiego. Obecnie po wyświetleniu tego filmu w Pradze, rozgorzała dokoła niego ostra dyskusja, zatrącająca i o akcenty polityczne. Mianowicie organ socjalistów narodowych Benesza „Svobodne Slovo" niezwykle ostro zaatakował ten film, który według niego nie ma żadnych wartości artystycznych, jest słaby i nudny, zdjęcia są marne, a przede wszystkim jest szkodliwy pod względem ideowym. Według „Svobodneho Slova" w filmie uczyniono z Szuhaja „papierowego agitatora", któremu włożono do ust „kilka nieprzekonywujących słów o kapitaliźmie, rewolucji i inne omszałe już frazesy z dialektyczno-marksistowskich rekwizytów". Film w swej pierwotnej postaci jest według pisma socjalistów narodowych „antysemicki, antyczeski i silnie komunistyczny", a ludowi Czechosłowacji przedstawia pierwszą republikę jako „policyjny i terrorystyczny okrutny system horthyowsko-hitlerowski". Te więc olbrzymie fundusze zużyte na nakręcenie filmu należy uważać za stracone.

Na zarzuty te odpowiada autor powieści, który sam miał głos i przy układaniu scenariusza. Olbracht bierze pełną odpowiedzialność za film. Nie podziela zarzutów „Svobodneho Slova", aczkolwiek sam ma pewne zastrzeżenia co do wykonania technicznego filmu. Na zarzut, że w filmie pomieszany jest marksizm z zabobonem ludu karpatoruskiego, odpowiada, że jest to właśnie teza i reżysera i jego własna, teza o ziemi „gdzie pierwsze początki socjalizmu mieszają się rozwojowo z resztkami średniowiecza". Nie godzi się Olbracht na zarzut, jakoby film był antysemicki. Obok postaci żydów-kapitalistów, żydów wyzyskiwaczy, są postacie żydowskiego proletariatu. Za ideową stronę filmu przyjmuje Olbracht pełną odpowiedzialność. Według niego cały atak na „Mikołaja Szuhaja" podyktowany był nie względami ideowymi, ale ściśle politycznymi. „Są ludzie — pisze Olbracht w dzienniku komunistycznym „Rude Pravo" — którzy ciężko znoszą to, że się ostrzega lud czeskosłowacki, aby nie dopuścił do powrotu dawnych czasów, które były po pierwszej wojnie na Rusi Podkarpackiej, że się przypomina narodowi olbrzymi rozdział między rządem demokracji ludowej a ówczesnymi rządami kapitalistycznymi, że się mu stawia przed oczy, że wyzyskiwacze dotąd żyją, że żyją sabotażyści i reakcjoniści, których celem jest przeszkadzanie wszystkiemu co prowadzi do postępu i lepszego życia. O to w pierwszym rzędzie chodzi. Czy to jest komunizm? Oczywiście że nie. Tendencja? Tak. Wszystkie moje książki są tendencyjne." Ożywia je wedle Olbrachta tendencja „zrozumienia współczesności i należnej oceny przeszłości". jr

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW

Słoneczne święto w promiennym mieście

Miasto promienne

Są miasta, których oblicze niejako predestynuje je do pewnej roli, nawet wbrew ich dziejom. Toruń przez długie wieki był to twierdzą, to śpichlerzem wiślanym, to miastem pokojów i zjazdów. Toruń nie miał uniwersytetu, miał tylko swego Kopernika i Bogumiła Lindego. Obydwaj tu się urodzili, ale nie tu pracowali. Coś jednak z ich ducha zostało w chłodnych murach odwiecznych świątyń i starych kamienic mieszczańskich, skoro przybysz rozglądający się po dzisiejszym Toruniu, z głębokim przekonaniem wypowiada zdanie: — Ależ to idealne miasto uniwersyteckie.

Istotnie tak jest. Nie tylko bowiem dwaj mężowie uczeni patronują Uniwersytetowi Toruńskiemu, spadkobiercy i kontynuatorowie tradycji starej wileńskiej Alma Mater, ale i spokojny, równy wiek życia, nie zakłócony szaleńczą gonitwą za zyskiem, a jednak daleki od martwoty czy ospalstwa wielu miast prowincjonalnych. Oprócz bowiem gorącej czerwieni gotyckich kościołów i bram miejskich, wyłuskiwanej przez wszechpotężne słońce spod patyny wieków, oprócz wyjątkowo soczystej roślinności, która powodzią mieniącej się zieleni opasała resztki murów obronnych i fos, oprócz błękitem i srebrem bitego gościńca Wisły, która tu już nie jest szarą Wisełką z piosenki, ale potężnym szlakiem wodnym, prącym zdecydowanie do Bałtyku. Bije z tego miasta zawziętych walk i wielkich pokojów jakieś światło wewnętrzne o nieprzepartym uroku. Może to duch Kopernika przychylił mu nieba i osypał gwiazdami, może profesorowie, studenci i pedele Uniwersytetu Stefana Batorego przynieśli ze sobą garść ziół nadniemeńskich i pienia słowicze z Antokolu, dość, że to miasto-ogród z każdym dniem staje się miastem co raz bardziej romantycznym.

Nie zapomnę nigdy momentu, kiedy zapytany przeze mnie woźny w Collegium Maius o to, gdzie odbywa się posiedzenie Zjazdu Bibliotekarzy odpowiedział mi śpiewnym akcentem: „Toż paniczka, nie tu, a w „harmonijce“. (“harmonijka“ to poprostu nazwa gmachu, w którym mieści się Collegium Minus.)

Otwarcie Biblioteki Uniwersyteckiej

Piękna majowa pogoda, upał niemal lipcowy, powódź kwiatów i zalew gości z całego kraju towarzyszyły uroczystości otwarcia Biblioteki Uniwersyteckiej i związanemu z nią dorocznemu Zjazdowi Związku Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich, który z kolei czcił dwuchsetną rocznicę otwarcia Biblioteki Załuskich i 30-lecie własnego istnienia. Nie brakło zatem ceremoniału, związanego z tego rodzaju obchodami, patosu przemówień i balastu historyczno-statystycznego, ale całą tę część oficjalną oskrzydlała koleżeńska serdeczność ludzi z jednego bractwa, wielkiego bractwa służby książce.

Zaczęło się od uroczystego nabożeństwa w Kościele Panny Marii, celebrowanego przez J. E. Biskupa dr Kowalskiego w obecności J. M. Rektora Kolankowskiego, dostojników ministerialnych, senatu akademickiego, młodzieży uniwersyteckiej i licznej rzeszy bibliotekarzy z całej Polski.

Następnie udaliśmy się do pobliskiego gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej, gdzie nastąpił akt poświęcenia budynku i uroczystego przekazania Biblioteki Uniwersyteckiej przez rektora prof. dr Burchardowi, obecnemu jej dyrektorowi.Cały gmach biblioteki na ten dzień zakwitł nie tylko flagami narodowymi, nie tylko barwami ksiąg przeróżnych, ale tęczą żywych kwiatów i zieleni. Nie darmo Toruń słynął od wieków ze swego ogrodnictwa, a nawet winnic, dostarczających przedniego napiwku piwnicom krzyżackim.

Dziś dał dowody, że godnie umie piastować i te tradycje. Zalał sale biblioteczne wodotryskami palm i agaw, kaskadami paproci, spośród których wynurzały się koralowe wyspy olbrzymich tulipanów, strzelały płomyki pelargonii. Mównica otulona białym welonem, przepasana wstęgą różową, symbolizowała zaślubiny Biblioteki z Uniwersytetem.

Mów powitalnych było wiele. Przemawiali starzy i młodzi. Osiwiali w żmudnej pracy piastuni i obrońcy starych książnic, weterani bibliotekarstwa, i młodzi zapaleńcy, cały swój entuzjazm rzucający, jako podwalinę „narodowego pamiątek kościoła“. Wybieram kilka najznamienniejszych momentów, charakterystycznych dla nastroju miejsca i chwili.

Rektor Kolankowski powiedział między innymi: „Nasza Biblioteka jest żywym stwierdzeniem tego jasnego rytmu naszej duszy, który od wieków dobro wszelakie buduje, a nie burzy. Równocześnie będzie nasza Biblioteka Uniwersytecka na tych ziemiach na całą przyszłość walnym bastionem przed tak groźną dla duchowej struktury i zwartości narodu oschłością serc i jałowością umysłów“.

Prof. Hartleb w odczycie pt.: „Demokratyzacja książki“ dał zwięzły rys historyczny stopniowego udostępnienia książki najszerszym warstwom od wynalazku druku począwszy po dzień dzisiejszy, podnosząc chlubny udział Polski w demokratyzacji książki dzięki panującej u nas tolerancji. Wolność słowa to zdobycz naszego wieku złotego. „Na zachodzie płoną stosy, a u nas wolność i swoboda“. Dziś książka jest nierozerwalnie związana z człowiekiem. Stąd społeczno - demokratyczny charakter biblioteki.

Dyrektor Biblioteki dr Burchard przedstawił bilans dotychczasowych jej osiągnięć.

Pierwszego września r. 1945 rozpoczęto prace Biblioteki Uniwersyteckiej wspólnie z Książnicą Miejską, bogato wyposażonym warsztatem pracy. Dnia 1 marca 1947 r. ukończono przenoszenie zbiorów B. U. do nowego gmachu, w którym dążono do jak najszybszego udostępnienia zbiorów. Akcja powiększania księgozbioru opierała się dotychczas tylko w małym stopniu na zakupach, a jeszcze mniejszym na darach i wymianie. Od niedawna zaczęły napływać dary z zagranicy. Główny trzon B. U. to księgozbiory poniemieckie.

Biblioteka posiada około 400 tysięcy voluminów, 47 kodeksów rękopiśmiennych, 1687 fascykułów archiwaliów, 36 atlasów, 124 mapy, 896 nut, 63 albumy, 714 rycin, 4.041 klisz. Do posegregowania pozostało jeszcze około 100 tysięcy. Kilkadziesiąt skrzyń jeszcze w ogóle nie rozpakowano. Personel Biblioteki składa się: z 6 bibliotekarzy naukowych, 9 technicznych, 8 woźnych, 3 dietariuszy i 12 płatnych studentów. Dysproporcja między ilością voluminów, a szczupłym personelem dowodzi trudności zadania.

Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu ma na celu w pierwszym rzędzie obsłużenie 4 wydziałów Uniwersytetu, a następnie pod względem regionalnym objęcie całego Pomorza od Rugii do Prus Wschodnich i Kujaw. Jako tematy zbierania materiałów wymienione są: prehistoria, czasy pogańskie, Rugia, Krzyżacy i Kawalerowie mieczowi, Związek Miast Pomorskich i Hanzeatyckich, Związek Jaszczurczy, wojny szwedzkie, Prusowie, Jadźwingowie, Litwini, Kopernik, Hozjusz, Linde, Krasicki etc.

Biblioteka Uniwersytecka powinna się stać tym dla Pomorza, Warmii, Prus i Kujaw czym B. U. Poznania jest dla Wielkopolski, a Wrocławia dla Śląska. Przejmując Bibliotekę z rąk rektora, dyrektor składa przyrzeczenie, że jej pracownicy będą pozostawać w służbie obiektywnej nauki i dążyć do podniesienia B. U. na poziom tych szczęśliwych bibliotek uniwersyteckich, które mają swoje wiekowe piękne tradycje.

Wystawa książki

Po zamknięciu uroczystości zebrani zwiedzali Wystawę Książki, urządzoną na najwyższym piętrze gmachu. W estetycznie rozmieszczonych gablotach umieszczono cały szereg cennych rękopisów, inkunabułów i starodruków. Wśród nich na honorowym miejscu pod posążkiem Kopernika: „De revolutionibus...“ 1543 r. i drugie jej wydanie 1566 Bazylea, egzemplarz ofiarowany B. U. przez ministra Wycecha.

Wśród rękopisów najciekawsze to kopia z XIV w. listu papieża Grzegorza VII do książąt niemieckich z r. 1086, 4 dokumenty z podpisami królów polskich (Sobieski, Wiśniowiecki, August III, Stanisław August), cudownie iluminowane rękopisy arabskie i średniowieczne łacińskie. Z inkunabułów pierwsza biblia polska Leopolity, drukowana w 1561 r. u Szarfenberga, kancjonał wydany w Królewcu r. 1544. Wreszcie to, co laika najbardziej zachwyca: piękne oprawy książek, na których skóra, srebro i aksamit walczą o pierwszeństwo w swoistych zapasach o piękno.

Obrazy Jamontta

I jeszcze jedna wystawa ciągnęła nas jak magnes: wystawa prac malarskich Jamontta, profesora na wydziale sztuki tutejszego Uniwersytetu. Pamiętamy dobrze sprzed wojny jego romantyczne pejsaże, na których drzewa rozwichrzone rytmem balladowym smagają bicze ulewy, więzie błyskawic, snopy promieni, wydarte z chmur, pamiętamy te zaułki wileńskie, gdzie odwieczne rudry zdają się odprawiać sabat czarownic w noc rabinową.

W zacisznych i chłodnych salach Związku Plastyków możemy odświeżyć te wspomnienia, pomnożone nowym dorobkiem żywych kamieni starego Torunia, krajobrazów kujawskich, drzew nadwiślańskich, może mniej romantycznych od braci nadniemeńskiej, ale nie mniej bliskich naszemu sercu. W rozwoju stosunku artysty do rzeczywistości nastąpiła ciekawa ewolucja, może związana ze zmianą miejsca pobytu. Dynamiczna ekspresja przeradza się stopniowo w statykę, niepokój w ukojenie, rytm malarski staje się bardziej płynnym, kompozycja nabiera zwartości.

Tradycje wileńskie

Obrazy Jamontta są plastycznym wykładnikiem przeszczepienia tradycji wileńskich na grunt toruński, przeszczepienia, które dokonywa się we wszystkich dziedzinach życia naukowego i kulturalnego. Jesteśmy świadkami zjawiska analogicznego do sytuacji Wrocławia. Tam Lwów, tu Wilno nawiązują nici ciągłości rozwojowej. Tylko że na terenie Torunia wyraziściej uwypukla się ta przemiana, może dlatego, że Toruń jest miastem bardziej skupionym, a przede wszystkim wcale nie zniszczonym.

Teatr Horzycy

Rzadko kiedy spotkać można teatr, na którym do tego stopia wycisnęła swoje piętno indywidualność kierownika, co na teatrze toruńskim. Nie charakter regionalny, nie potrzeby miejscowej publiczności, nie aspiracje zespołu decydują o jego repertuarze i jego realizacji, ale wybór i smak Wilama Horzycy. Rezultaty przechodzą najśmielsze oczekiwania. Dyrektor na czele młodego zespołu atakuje zuchwale najryzykowniejsze prapremiery, wystawia „Dwa Teatry“ Szaniawskiego, „Promienistych“ Grzybowskiej, „Orfeusza“ Świerszczyńskiej, rzuca się na taki eksperyment, jak „Za kulisami“ Norwida i wychodzi zwycięsko z tych zapasów. Szturmem bierze publiczność prowincjonalną. Dowodem 30 bitych przedstawień „Wesela“. Ten sezon w Toruniu to chlubna karta w dziejach naszej kultury teatralnej.

Dwuchsetna rocznica otwarcia Biblioteki Załuskich

Warszawiacy dobrze pamiętają kamienicę „z królami polskimi“ w cichym zakątku ulicy Daniłowiczowskiej za ratuszem. Kamienica ta to siedziba Biblioteki Załuskich, skąd wywieziono ją w 1794 do Petersburga. W ramach Zjazdu Związku Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich upamiętnił dwusetną rocznicę jej powstania dr Bańkowski pięknym referatem treści następującej:

Biblioteka Załuskich powstała w okresie dziejów naszych, niesprzyjających tego rodzaju poczynaniom kulturalnym, jednak przezwyciężyła ona atmosferę obojętności i marazm u intelektualnego. Była nie tylko czytelnią publiczną, ale warsztatem i ośrodkiem życia naukowego, a w niemałym stopniu i ruchu literackiego.

Zadanie swe mogła B. Z. spełnić dzięki olbrzymim zbiorom książkowo - rękopiśmiennym (400 tysięcy książek i 18 tysięcy rękopisów), zgromadzonych przez Andrzeja Józefa Załuskiego, który włożył w to dzieło całą swoją fortunę. Wydatną pomoc finansową okazał mu brat starszy, biskup krakowski Andrzej Stanisław Kostka.

Po śmierci Załuskiego w r. 1774 zachwiały się podstawy materialne Biblioteki. Nie była w stanie zapobiec temu Komisja Edukacyjna, która przejęła Bibliotekę. Po upadku Powstania Kościuszkowskiego nastąpił wywóz do Petersburga. Po Traktacie Ryskim część zbiorów wróciła do Warszawy. W r. 1944 Niemcy prawie wszystko zniszczyli. Jednak Biblioteka Załuskich nie zginęła bez śladu. Resztki kryją się jeszcze po różnych bibliotekach. Wiele zabytków doczekało się publikacji. Ponadto dzieło Załuskiego przetrwało jako duchowy testament jej twórcy, przekazywany z pokolenia w pokolenie. Spadkobiercami tego testamentu są przede wszystkim bibliotekarze i archiwiści.

30-lecie Związku Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich

W zwięzłym, ale wyczerpującym referacie prof. Baumgard zamknął dzieje związku. Związki Bibliotekarzy powstały najprzód w Ameryce (1853 r.) potem w Anglii (1876). U nas ówczesne warunki polityczne nie pozwoliły na utworzenie związku. Dopiero 27 października 1917 r. odbyło się inauguracyjne zebranie Zw. Bibl. i Arch. Polskich. Związek od początku miał dwa cele: naukowy i zawodowy. Ten charakter utrzymał i dziś. Wojna nie naruszyła ciągłości pracy, choć ją zahamowała. Spośród bibliotekarzy zginęło 120 osób. Rozwijano pracę tajną, pomoc koleżeńską, ratowano zbiory, prowadzono tajny kurs bibliotekarski. Przymusowe zetknięcie się z bibliotekarzami niemieckimi wykazało wysoki poziom bibliotekarzy polskich.

Natychmiast po ukończeniu wojny, a mianowicie 17 lutego 1945 r. wznowiono pracę Związku, który obecnie liczy 15 kół i 900 członków. Zawiązują się nowe koła. Najważniejsze zdobycze, to przekształcenie Wydziału Bibliotek w ministerstwie Oświaty na Dyrekcję Bibliotek, powstanie Państwowego Instytutu Książki i Rady Książki, jako społecznego organu opiniodawczego. Wreszcie utworzenie na Uniwersytecie w Łodzi katedry księgoznawstwa i bibliotekarstwa (prof. Muszkowski). Specjalną troską otoczył Związek sprawę repatriacji bibliotek ze wschodu.

Podsumowując dotychczasowe prace Związku, wymienić należy przede wszystkim akcję wydawniczą (13 roczników Przeglądu Bibliotecznego i wychodzący od 1937 r. miesięcznik „Bibliotekarz“ pod redakcją Wandy Dąbrowskiej). Następnie poradnię biblioteczną, która oddała nieocenione usługi bibliotekarzom w całym kraju. Po wojnie powstała przy Zarządzie Głównym wytwórnia pomocy i druków bibliotecznych.

Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, to obecnie największą troską Zarządu Głównego jest poprawa bytu bibliotekarzy. Stara się on o rozciągnięcie na bibliotekarzy, na ogół fatalnie uposażonych, tzw. dodatku naukowego, przyznanego nauczycielstwu w sumie 3.000 zł miesięcznie. Wiele się dziś mówi o znaczeniu książki i o powołaniu bibliotekarzy, ale dotych czas wielu z tych ofiarnych pracowników pobiera wynagrodzenie znacznie mniejsze nie tylko od nauczycieli szkół powszechnych, ale i od niewykwalifikowanych robotników, zwłaszcza jeśli chodzi o bibliotekarzy samorządowych.

Dość powiedzieć, że kierownik biblioteki miejskiej pobiera 2.800 zł miesięcznie, a nauczycielka, prowadząca bibliotekę szkolną, za swoje trudy otrzymuje dodatek:... 100 zł miesięcznie. Te sprawy muszą być unormowane i to jak najszybciej. Inaczej grozi bibliotekom ucieczka pracowników do innych zawodów, nawet do pracy fizycznej.

Gościnność Koła w Toruniu

Mówiąc o Zjeździe Bibliotekarzy w Toruniu, niepodobna pominąć świetnej organizacji i gościnności Koła Toruńskiego. O 3 nad ranem witał nas na dworcu delegat Koła, całą noc dyżurowało kilka osób w Bibliotece Uniwersyteckiej, aby gości rozmieścić po kwaterach. W ciągu trzech dni byliśmy świadkami, jakich cudów dokonać może gościnność pomorska, skrzyżowana z gościnnością wileńską. Niczego nie brakowało, chyba tylko autentycznych pierników toruńskich.

Oprócz Koła ugaszczał nas kolejno J. M. Rektor Kolankowski i akademicy, którzy całą dynamiką swej wrzącej młodości uświetnili nam wieczór pożegnalny.

Koło Toruńskie zapisało się nie zatartymi głoskami w pamięci bibliotekarzy z całej Polski.

Stefania Podhorska-Okołów

AMELIN VONDER

DRZAZGI i przyjaźń

PRZYJMUJĄC zaproszenie „Odry“ o pisywanie stałego przeglądu wydarzeń społeczno-kulturalnych z odcinka czeskiego i słowackiego, nie zamierzam kierować się przypadkowością koniunkturalną, lecz raczej indywidualnym i objektywnym sentymentem, wypranym z poloru oportunistycznego. Na ten często żenujący oportunizm „cierpi“ szereg pism polskich od krakowskiego „Dziennika Polskiego“ począwszy, poprzez „Świat i Polskę“ — a kończąc choćby na poważnej i zdyscyplinowanej „Twórczości“. Jednostronność, przesada czy błędne informacje, to nie najlepsza droga do poznania przyjaciół. Świetny autor czeski Karol Czapek umarł... na zapalenie płuc, nie przeszkadzało to jednakże w minionym roku „Twórczości“, aby do wiadomości swych czytelników podać, że autor „Białej choroby“ zmarł śmiercią samobójczą. Nie tak dawno znowu, informator „Twórczości“ zamieszczając na łamach krakowskiego miesięcznika swą interesującą korespondencję na tematy czeskie, kierował się w niej pewną dowolnością i przeoczeniem bardzo ważnych wypowiedzi w danej sprawie. Źle jest, kiedy zamiast objektywności tak koniecznej w sprawach kulturalnych, spotykamy się na łamach pism polskich z rażąco nieobjektywnymi „dubami smolonymi“. Jeśli chodzi o Czechów i to w dziedzinie literatury, to nigdy w stosunku do nas nie możemy im zarzucić takiej roboty. Nasi przyjaciele czescy, mimo poważnych trudności w zdobywaniu informacyj o stanie naszego piśmiennictwa, nie popełniają rażących gaff i potknięć. Polot dorywczości, nieścisłości, rozdmuchiwanie spraw mało ważnych a pomijanie efektów naprawdę cennych i artystycznych, cechowało już i dawniej wszelkie referencje w prasie i w pismach polskich. A trzeba nam bezstronnie przyznać, że przed wojną mieliśmy w Czechach kilku wybitnych przyjaciół-intelektualistów, którzyby mogli zawstydzić niejednego polonistę w dziedzinie znawstwa literatury polskiej. Gdyby tak dzisiaj przewertować choćby oficjalną i przedwojenną „Prager Pressse“ z tymi wszystkimi kolumnami „polskimi“ pióra dr. Magra — musielibyśmy się trochę powstydzić naszej ignoracji. Polska zawsze zbyt mało miała poważnych krytyków literackich... a kto z tych krytyków interesował się dajmy na to sprawą kultury polskiej na Śląsku i jej przejawami w życiu literackim? Pierwszymi z nich byli krytycy czescy, jak już wspomniany dr Magr, czy dr Krejczi czy niemianowany ambasador zbliżenia polsko-czeskiego dr Kral z Mor. Ostrawy. Ci właśnie ludzie... a nie Warszawa i nie Łódź — zwracali uwagę na regionalistyczny ruch literacki na Śląsku i mimo jego niedwuznacznej polskości, posiadali w swych drukowanych wypowiedziach wiele słów ciepłej zachęty i bezstronnego zrozumienia.

Co — dajmy na to — wiemy dzisiaj w Polsce o dr Kralu z Morawskiej Ostrawy, który — jak to sam podkreślił — postanowił poświęcić tej sprawie całe swoje życie. Ale ten sam działacz czeski także i cierpiał za swą „ideologię zbliżeniową“ — był taki czas, że dr Kral szczuty był przez swe własne społeczeństwo, wyrzucono go nawet z posady. Społeczeństwo takie nazywało się szowinistami.

Dotąd jednak żaden poeta czeski nie rozpoczynał pisać swego wiersza w języku polskim, aby go zakończyć w swej macierzystej mowie. Uczynił tak jednak Julian Przyboś. Nie wiem... ale chyba jedynie gwoli sporządzenia szybszego przekładu. W innym zaś wypadku osobistego snobizmu Przybosia nie mogę nazwać inaczej, jak tylko jakby zamierzonym partactwem informacyjnym — a to wtedy, kiedy z łamów praskiej „Tvorby“ dowiadują się czytelnicy czescy, że właśnie i akurat Tadeusz Różewicz jest najwybitniejszym poetą młodego pokolenia w Polsce. Wprawdzie można niekiedy i z własnych trocin ulepić kuklę-konia, lecz tego konia nigdy się nie powinno dosiadać w galopie, a raczej skrzętnie umieścić go w prywatnym muzeum-panopticum dla własnych, zadawalających oględzin.

Zarzuci mi może jakiś napuszczony neofita czy też przypadkowy komiwojażer „po sprawy literackie“ z terenu Czech czy Słowacji: — dlaczego o tym wszystkim piszę? Otóż dlatego, że szereg polskich pism literackich zamierza wydać swe czeskie „numery“. Zamierza to zrobić według tutejszych informacyj praskich, nie tylko krakowska „Twórczość“ lecz także łódzka „Kuźnica“ oraz „Myśl Współczesna“. Nie zbyt tęgo spisał się już tygodnik „Świat i Polska“, gdzie w sprawach śląskich bardzo często zabierają głos ludzie, których ze Śląskiem prócz dawniejszego zarobku, nic nie łączyło i którzy nie upoważnieni przez nikogo bardzo często przyswajają sobie prawo mówienia w imieniu „zdradzonego kraju“.

Droga do współpracy i przyjaźni polsko - czeskiej prowadzi przez Śląsk. Tego w Polsce nie uświadamiano sobie dawniej — z tego, jak widać — i dziś jeszcze nie zdają sobie dokładnej sprawy pewne poważne ośrodki kulturalne w Polsce, ze szkodą dla rzetelnej sprawy i niekłamanej przyjaźni. A przecie dzisiaj więcej niż kiedykolwiek powinna obowiązywać zasada znajomości na pozór łatwych i prostych spraw śląskich. Pisze się wiele o Ziemiach Odzyskanych, akcentuje się polskość tych ziem, ale to jest prawie wszystko. Na ile dotąd „sprawą śląską“ zainteresowały się ośrodki literackie Krakowa, Łodzi czy Warszawy? Boję się, że ośrodki te w samej ignorancji i nieznajomości zdołały już przeskoczyć problem ziem śląskich, pędząc windą z pierwszego piętra własnego domu na piętro trzecie, bez wysiadania na drugim piętrze przystanku śląskiego!

Polska ciągle jeszcze grzeszy brakiem wszechstronnych specjalistów „do spraw śląskich“ — na dokładną i sumienną publicystykę w tej sprawie, a nie na kompilacyjno - wtórne wydźwięki prasowe. Z tym zagadnieniem śląskim łączy się równocześnie nasze — jakżeż często niefortunne — podejście do spraw czeskich czy w mniejszym stopniu do spraw słowackich. Cechuje nas tutaj dorywczość, brak odpowiedniej selekcji, kiepskie znawstwo. Bo świetny pisarz młodego pokolenia czeskiego Jan Drda, tak uderzająco przypominający pod wieloma względami Wojciecha Żukrowskiego — to inna ranga w literaturze czeskiej niż bard Piotr Bezrucz albo tak związany ze Śląskiem Opawskim czeski pisarz jakim jest A. C. Nor, często wypowiadający publicznie swe zdanie na temat autochtonów dawnego „Sudetenlandu“. Ale każdy artykuł A. C. Nora wywołuje poruszenie nie tylko wśród czytelników... lecz zarazem także w wielu ministerstwach. Czy pisarze polscy mogą pochlubić się tą samą rolą spełnianą i zrozumianą wśród najwyższych sfer swego społeczeństwa? Nikt się w Polsce dotąd nie zainteresował tym bliżej, jak to „problem śląski“ jest potraktowany w całokształcie kultury czeskiej!

A byłby czas aby dostrzec, to całkiem odmienne, inne i wspaniale pojmowane sedno zagadnienia śląskiego w Czechach! Ileż tutaj czułości, ileż tutaj opieki, ileż ciągłych wysiłków! I nie dzieje się tak tylko w Morawskiej Ostrawie. Trasa jest bogato unerwiona: Praga, Berno, Prościejów, ba, nawet Opawa, Hłuczyn, Hrabynia czy Frydek. A w Polsce? Wiele wyczucia w Katowicach, cośkolwiek więcej pracy we Wrocławiu niż jej było dawniej, a więcej? Prawie nic — inne sejsmografy nie działają! W Łodzi dyskusje dialektyczne i klub Pickwicka w Warszawie ankiety Funduszu Kultury Narodowej na temat już dzisiaj przysłowiowej jałmużny dla literatów w Krakowie energiczny redaktor „Dziennika Literackiego“, drukujący każdy artykuł każdego autora (i czeskiego i polskiego) — a nad tymi artykułami później w Pradze, po kilku tygodniach — ci najwybitniejsi literaci czescy kiwią głowami, później wyjeżdżają na kuracje do swej pisarskiej siedziby (zamek w Dobrzyszy!) i tam znowu debatują na znany temat: — „no, jeśli o koledze X napisano tak długi artykuł... to co oni napiszą o nas... przecie X jest „trzeciorangowcem“ literackim?“

Wprawdzie po wycieczce literatów polskich do Czechosłowacji, to w Czechach więcej jest znany Tadeusz Różewicz niż Bąk, Ożóg, Ważyk, Nędza - Kubiniec, Jastrun czy Czesław Miłosz, że tak tylko lapidarnie i niekompletnie wymienię kilka nazwisk.

Napewno jednak będzie inny wynik po zamknięciu wycieczki literatów czeskich w Polsce. Czesi będą prawdopodobnie korygowali wiele nieścisłości, może przebywający w Polsce prezes Syndykatu pisarzy czeskich, świetny poeta Franciszek Halas, czy Maria Pujmanowa albo A. C. Nor, dostrzegą literaturę polską nie tylko prawie w rozbitej soczewce niekiedy hałaśliwej awangardy i jej zniewolonych epigonów?

A może... że pisarze czescy i słowaccy zainteresują się cichaczem tak sobie dla porównania i dla zmierzenia sił na zamiary... jak to właściwie przedstawia się ta tematyka śląska w literaturze polskiej... co się dzieje z autorami tego pokroju, tego cierpienia i tej walki?

Gdyby wtedy przyjaciele czescy głośno zapytali o jakieś szczegóły, byłoby błędem pokazywać im czy też powoływać się na źle ujęty artykuł dialektyczny, byłoby nietaktownie powiedzieć im prawdę bez osłonek. Najlepiej wtedy opowiedzieć pisarzom czeskim wielki epos o księciu nyskim, Mikołaju II, który skazany na śmierć przez Niemców, zażądał aby wyrok był mu przeczytany w języku polskim.

Bo tak się prawie zbiega, że w bieżącym roku na terenie całej Czechosłowacji, przygotowywane są już uroczystości bezruczowskie z okazji 80-lecia urodzin znanego z tendencyjnych wierszy wobec Polski, poety Piotra Bezrucza. Za tę jedną książkę o tematyce śląskiej, odbędzie się w kraju czeskim i w kraju śląskim za Olzą dziesiątki hołdowniczych akademij. Poczta czeska z tej okazji, wyda specjalny znaczek z portretem Bezrucza. W Bernie Morawskim, zostanie urządzona wielka wystawa, na której ma być „wyobrażony rozwój dzieła Bezrucza“ i zgromadzone to wszystko, co tylko łączy się z imieniem autora „Śląskich Pieśni“. Kto wie... czy w tych wrześniowych dniach 1947 roku z nakazu urzędowego nie zostaną zatknięte na domach wsi i miast bratniej republiki czesko-słowackiej, słowiańskie „trikolory“.

Amelin Vonder

TADEUSZ MIKULSKI

Biblioteka Narodowa rediviva

NIEJEDNOKROTNIE patrzymy na okładkę starej książki, jak w twarz dobrego przyjaciela. Tomiki Boblioteki Narodowej towarzyszyły naszej szkole. I pamiętamy doskonale, jak na „godzinach języka polskiego“ rozkładaliśmy na ławkach te małe, zgrabne książeczki, które wyróżniał już kolor okładziny: seria znaczona farbą jasno brązową, zawierała teksty z literatury polskiej, seria fioletowa — przekłady z literatur obcych. Nie wiedzieliśmy jeszcze wówczas, co to znaczy — wydać tekst literacki. Ale tomiki Biblioteki Narodowej wzbudzały zaufanie. Czytało się w nich najlepiej. Z kart tytułowych poznawaliśmy po raz pierwszy nazwiska wydawców i komentatorów tekstu, które należały częstokroć do znakomitych uczonych, filologów i krytyków, ze wszystkich środowisk uniwersyteckich. Ich słowo, umieszczone na wstępie, ich wytrawny komentarz „pod linijką“ — pośredniczyły mądrze i cierpliwie w poznawaniu dzieła literackiego w tym wczesnym wieku szkolnym. Gdy niezadługo później widzieliśmy tych samych ludzi na katedrach uniwersyteckich, byli to dla nas przede wszystkim autorzy z Biblioteki Narod.

Tak wiązała się ta seria ze szkołą dwudziestolecia niepodległości. Gdyby ktokolwiek z pisarzy, jak uczynił to Romain Rolland dla postaci Jana Krzysztofa, zapragnął w bibliografii swojego bohatera cytować jego podręczniki szkolne, musiałby wprowadzać całe naręcza Biblioteki Narodowej do sal gimnazjalnych tego okresu.

Szkoła z natury rzeczy wiąże ze sobą książki na długie lata współżycia. Urodzony Jan Dęboróg zapamiętał tak Alwara. Gimnazjum galicyjskie przed pierwszą wojną światową przyzwyczaiło swoich uczniów do wydań tekstów literackich w Bibliotece Powszechnej Zukerkandla ze Złoczowa lub do staranniej wyposażonych Arcydzieł pisarzy polskich i obcych Feliksa Westa w Brodach. Tym samym prawem Biblioteka Narodowa, redagowana długie lata przez Stanisława Kota, najpierw jako wydawnictwo Krakowskiej Spółki Wydawniczej, później Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, związała się ze szkołą polską nowego okresu od dnia 1 listopada 1919 r., kiedy pierwsze numery Biblioteki pojawiły się w obiegu.

Odtąd narosło ich w serii pierwszej — 122, w serii drugiej — 58. Ze skromnych początków Biblioteka Narodowa rozwinęła się w wielkie przedsiębiorstwo wydawnicze. Rozpoczynając dziesiąty rok działania, Biblioteka Narodowa ogłosiła „Almanach“ jubileuszowy (1929), a w nim cyfry, godne przytoczenia. Wydawnictwo naliczyło wówczas 163 tomiki (w obu seriach). Niejeden z nich pojawił się w ponownym wydaniu (razem dorachowano się wtedy 294 wydań), mimo masowego nakładu. Nakład przeciętny tomiku wynosił 10.000 egzemplarzy, nakład najniższy — 6000, najwyższy — 25.000. W całości wyprodukowała Biblioteka Narodowa blisko trzy miliony (dokładnie: 2.830.340) książek, których liczba po r. 1929 musiała jeszcze wzrosnąć. Zapewne, przy nakładach, do których przyzwyczaja nas dzisiaj „Czytelnik“ i inne spółdzielnie wydawnicze, cyfry te maleją. Gdy jednak patrzymy na nie z perspektywy czasów, które wydawnictwo konsumowały, wspaniała produkcja Biblioteki Narodowej zdumiewa i ustala rekord zupełnie szczególny.

Cyfry, chociaż bardzo dokładne, mówią tylko część prawdy. Bo o sile produkcyjnej warsztatu rozstrzyga także jego jakość. Uczniowie tamtych roczników zapamiętali doskonale przewodnictwo Tadeusza Sinki, jako wydawcy dzieł Kochanowskiego, Aleksandra Bruecknera, pieczołowitego opiekuna tekstów staropolskich, Stanisława Kota, odkrywczego komentatora „Kazań sejmowych“ Skargi, Stanisława Pigonia — Mickiewicza, Juliusza Kleinera — „Beniowskiego“... I chyba żaden ze sztubaków nie wiedział wówczas, że należyta poprawność tekstu wymaga przy niektórych tomikach przeprowadzenia 7 do 10 korekt drukarskich. Ale właśnie na tej drodze: powierzania opracowań najlepszym specjalistom i doskonalenia metody krytycznej, Biblioteka Narodowa uzyskała wysoki poziom swojego aparatu i wzorową nieraz poprawność tekstów, kaleczonych dotkliwie przez poprzednie przedruki. Można cytować bez trudu tomiki Biblioteki Narodowej, które zachowały swoją wartość nie tylko użytkową w rozumieniu szkolnym. Zarówno dziś jak poprzedno, służą one młodzieży polonistycznej w uniwersytetach dla celów powtórnej już, uważnej lektury, a szereg opracowań Biblioteki Narodowej zdołało wzbogacić stan badań w zakresie specjalnych zagadnień naukowo-literackich. Tak zatem okazała szafa biblioteczna, wypełniona po brzegi kompletem wydań Biblioteki Narodowej, jeśli znajduje się wśród nas ich szczęśliwy posiadacz, przedstawia dobrany z wielką starannością zasób kultury literackiej Polski i Europy, oddany szczodrą ręką na użytek szkoły i nauki.

Zamierzenia redakcyjne szły dalej i szerzej, aniżeli osiągnięcia. W latach okupacji niemieckiej, w kołach wydawniczych Ossolineum, dojrzało postanowienie kontynuacji Biblioteki Narodowej, której przedwojenne zapowiedzi wydawnicze nie zostały wyczerpane. Dziś, gdy potrzeby szkoły i zamówienia czytelnicze wzrastają intensywnie, gdy mnóstwo spośród bibliotek publicznych i prywatnych uległo zniszczeniu, wznowienie Biblioteki Narodowej z poprzednim rozmachem i kompetencją naukową wydaje się sprawą wielkiej wagi. Możemy o tym mówić już nie w kategoriach przyszłości. Bowiem Biblioteka Narodowa została w pewien sposób podjęta. W piwnicach oficyny wydawniczej Anczyca w Krakowie przechowały się szczęśliwym trafem wojennym odlewy składu drukarskiego kilkunastu kompletnych tomików, obu serii. Z tych właśnie odlewów poczyniono nowe wydania znanych dobrze tekstów. Ocalał w ten sposób i służy dzisiaj nowemu czytelnikowi skład „Marii“ Antoniego Malczewskiego (I, 46), w opracowaniu Józefa Ujejskiego, znakomitego monografisty dzieła i autora. Podobnie ukazały się w nowym odbiuciu teksty serii drugiej: „Skąpiec“ Moliera w wybornym przekładzie Tadeusza Żeleńskiego (II, 6) oraz „Makbet“ Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego i w opracowaniu Andrzeja Tretiaka (II, 16). Dzieła te i przekłady należą do wartości uznanych w polskiej kulturze humanistycznej i nie ma powodu poddawać je nowej ocenie. Zakład Narodowy im. Ossolińskich raz jeszcze zasłużył się społeczeństwu szybkim i sprawnym nakładem tekstów, na które czeka niecierpliwie szkoła, pozbawiona pomocy podręczników, i czytelnik, poszukujący czasem — mimo bogactwa nowej — także dawnej literatury.

Co więcej, na okładkach wznowień czytać można zapowiedzi wydawnicze dalszych tomików, które zataiły się w metalu drukarni Anczyca. Są to z serii pierwszej Kochanowski, Krasicki, Słowacki, Goszczyński..., w serii drugiej Homer i Sofokles. Książka zna różne formy przetrwania. Gdy spłonęły całe biblioteki, złoża papieru i twórczości, powielonej drukiem, ocalały dobrym trafem matryce kilkunastu książek, gotowe służyć potrzebom nowej generacji czytelników.

Szereg firm księgarskich i instytucji wydawniczych podejmuje dziś wydania tekstów literackich na użytek szkoły i samouctwa. Projektów i zapowiedzi, więcej: cząstkowych realizacyj, jest w tym zakresie tyle, że z pewnym niepokojem patrzymy na działalność, której może zabraknąć celowej i świadomej koordynacji. Naprowadza to zresztą pewną analogię z przeszłości: po pierwszej wojnie światowej zaroiło się również w naszym księgarstwie nakładowym od wszelkich serii wydawniczych, z których zaledwie kilka zdołało sobie zapewnić żywot trwalszy. Sprawa ta posiada dostatecznie wielką wagę i kryje zbyt wielkie niebezpieczeństwo rozproszenia sił i środków, by nie uczynić jej przedmiotem obszerniejszej dyskusji. Zanim okaże się konieczność podobnej rozmowy między wydawcami a grupą autorów i odbiorców, witamy z radością i wzruszeniem tomiki Biblioteki Narodowej, wierne towarzyszki pokolenia. Patrząc na znane dobrze czcionki i okładki, wobec tekstów, którym wojna nie dała rady, mówimy na widok tego daru: Biblioteka Narodowa rediviva!

Tadeusz Mikulski.

JULIA NAHORAYSKA

Młodzież akademicka na Śląsku

Materiałem do tego krótkiego szkicu są podania studentów, które wpłynęły do Wojewódzkiej Rady Kultury w związku ze stworzeniem Funduszu Stypendialnego dla młodzieży akademickiej, zamieszkałej na terenie województwa śląsko-dąbrowskiego.

Podań tych wpłynęło 297 i chociaż wymieniona liczba nie oddaje stanu ilościowego śląskich akademików, jednak umożliwia pewną ogólną orientację o stosunkach, panujących wśród tej młodzieży, zapoznaje nas z jej życiem, warunkami w jakich dorastała, z jej postawą życiową, obrazuje jej zainteresowania.

MŁODZIEŻ ta nie przyszła na Uniwersytet z ławy szkolnej. Zabrano jej z życia ten najprzyjemniejszy może okres lat szkolnych, lat, do których wracając myślą prawie zawsze się stwierdza, że wtedy było dobrze, właśnie wtedy, kiedy dzień każdy był unormowany, kiedy się posiadało młodość nieodpowiedzialną, zobowiązaną tylko na razie do nauki. O wypełnienie zajęć dla tej wyrwanej ze szkół młodzieży starał się nie dom rodzinny, nie szkoła, ale bogaty agent wroga, który kilkunastoletnie dzieci obarczał pracą ponad siły, kaźniami, obozami, wysyłkami w głąb swego kraju, nie mówiąc już o śmierci, bo podania tych nie wpłynęły i nie wpłyną nigdy. Przyszła na uczelnie wyższe z świadectwem dojrzałości, na którym pieczątkę przybiło życie, zaś tego wymaganego, z pieczątką Kuratorium, często nie ma jeszcze. Przyszła młodzież ze środowisk włościańskich i robotniczych w większej ilości, niż to miało miejsce w czasach przedwojennych, trochę się też przesunął wiek studentów — ale ta różnica bardziej jest widoczna w szkołach średnich, mniej uderza w salach wykładowych uczelni wyższych.

Ten fakt wcześnie zdobytej samodzielności, przedwcześnie zrozumiałego i odczutego ciężaru życia różni młodzież akademicką dzisiejszą od przedwojennej społeczności akademickiej. Ale różni się ona od niej wprost diametralnie i nie tłumaczą tej różnicy wyżej podane przyczyny. Młodość jest bardzo podobna do siebie, podobieństwo polega na jednakowym u młodych ludzi wszystkich klas żywszym reagowaniu, żywszym odczuwaniu, wzmożonej energii i — co jest najmilsze — większej skłonności do śmiechu, uśmiech jest cechą dojrzałego społeczeństwa. I pod tym względem nic się nie zmieniło na pewno. Tutaj chodzi o różnicę inną, istotną, którą stanowi bezwątpienia silniejszy niż przed tym zapał do nauki, tak wielki, że można śmiało mówić o entuzjazmie do nauki.

Wydawałoby się to rzeczą dziwną i jest też nią niewątpliwie, jest to może największa niespodzianka skutków ostatniej wojny. Bo wydawałoby się, że lata wojny szacunek dla nauki, dla zrozumienia jej wartości podepczą, że młodzież, która skosztowała życia tak wprost z ulicy, tak pełnymi garściami, nie dawkowanymi przez rodziców czy wychowawców, nie zechce dobrowolnie wrócić do pewnych norm, nie da sobie nałożyć pewnych rygorów, które niewątpliwie narzucają i wyższe uczelnie. I tutaj znowu trzeba podnieść jeszcze jeden moment, że niełatwo rezygnuje się z posiadania własnych pieniędzy, z tej zdobytej poprzednio najczęściej zupełnej niezależności materialnej. Prawie wszyscy studenci pracowali w okresie od uzyskania wolności do momentu wstąpienia na wyższą uczelnie. Na uniwersytecie rozkład zajęć uniemożliwia często dorabianie, ale wtedy, kiedy chodziło o uzupełnienie wiadomości szkoły średniej, pracują wszyscy. Ta niespodzianka zresztą zarysowywała się już podczas samej okupacji, kiedy roiło się od kursów i kompletów tajnego nauczania, gdzie po ciężkiej pracy, przy szalonym nieraz zmęczeniu fizycznym uczyła się młodzież wojenna. Po takiej zaprawie uczy się dalej bez zrażania największymi nawet trudnościami. Garnie się do nauki zachłannie, dzisiaj na uczelnię wyższą nikogo prawie nie zaprowadził snobizm, ale rzetelna, prawdziwa i uparta dążność do zdobycia wiedzy. Po powrocie do domu znów **rzuciłem** się do nauki" — pisze jeden ze studentów — to określenie może najlepiej ilustruje stan faktyczny.

Przechodząc teraz do zestawienia wiadomości i wysnucia pewnych wniosków z rozporządzanego materiału, muszę się zastrzec, że zdaję sobie sprawę z tego, iż oparte one będą na bardzo kruchej podstawie. Podania wpłynęły z 13 szkół akademickich: Uniwersytetów Jagiellońskiego, Poznańskiego, Wrocławskiego, Łódzkiego, Politechniki Śląskiej w Gliwicach, Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Akademii Handlowej w Krakowie, Akademii Górniczej w Krakowie, Wydziałów Politechnicznych przy Akademii Górniczej w Krakowie, Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie, Wyższego Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych w Katowicach, Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach. Wspólna zatem platforma, na której spotykają się poszczególni studenci jest bardzo szeroka. Omawianą grupę łączy tylko fakt zamieszkania w woj. śląsko-dąbrowskim, a więc więź dosyć luźna, zwłaszcza dzisiaj, kiedy na ziemiach śląskich dokonywuje się jakby aliaż ludności napływowej z różnych stron Polski z miejscową, którego stop oglądać będą dopiero lata dalsze. Zagłębie dołączone do woj. śląsko-dąbrowskiego, proces repatriacji ludności zza Buga, przyczynia się bardzo do ogromnego urozmaicenia tej grupy młodzieżowej z jednej strony, z drugiej uszczupla jeszcze bardziej i tak niekompletny jak już na początku wspomniano materiał. Niekompletny też dlatego, ponieważ nie był z góry dla obranego tematu przygotowany. Życiorysy często nie podają wszystkich tych danych, które byłyby interesujące i pomocne dla tematu.

Większość studentów w chwili wybuchu wojny ukończyła 2—3 klas gimnazjalnych, nieliczny jest procent tych, którzy zdali maturę, stosunkowo najmniejszy takich, którzy przed wojną rozpoczęli studia i obecnie je kończą. Przeważna część maturę licealną zdała w pierwszym lub drugim roku po wojnie. Oczywiście takie tempo nauki i to przez cały uprzedni okres zdobywania jej w najbardziej niekorzystnych warunkach, nie wpłynęło dodatnio na poziom wiedzy. Zaznacza się brak prymitywnych wiadomości z pisowni, stylu a nawet i znaczenia słów użytych. Ale tutaj pamiętać musimy o materiale jakim rozporządzamy. Są to przecież podania studentów o stypendium, a więc młodzieży, rekrutującej się z warstwy niezamożnej, a przede wszystkim w przeważającym procencie młodzieży robotniczej śląskiej, dla której dom nie był nigdy tą kuźnią wiadomości, zdobywanych mimo woli chwytanych tak niechcąco ze słyszenia, jak to ma miejsce u dzieci inteligenckich. Samotnie i w trudzie wykuwa dla siebie wiedzę przyszły śląski inteligent. Nie ma nikogo z bliskiego, kogo można by zapytać czy tak jest dobrze napisane, czy tak można się wyrazić; ale za to otrzymujemy nieskorygowaną przez starszego, szczerą, bezpośredniością tchnącą spowiedź młodego człowieka. Relacje osobiste stanowią też jedyne źródło dla analizy i charakterystyki młodzieży.

Wywodzi się ona z różnych warstw, głównie robotniczej, ale ponieważ po wojnie cała ludność zubożała, więc o stypendium obok syna robotnika ubiega się i dziecko urzędnika wysokiej nawet grupy uposażeniowej.

Głównym centrum, wokół którego skupia się młodzież, to Śląska Politechnika w Gliwicach. Mniejszej jednakowo frekwentowane są dwa centra naukowe, w pośrodku których leży woj. śląsko-dąbrowskie, a to Kraków i Wrocław, reszte skupia Wyższe Studium Nauk Społ.-Gosp. i Wyższe Szkoły Pedagogiczna i Muzyczna w Katowicach, Wyższa Szkoła Gosp. Wiejsk. w Cieszynie, wreszcie Poznań i Łódź.

Uderzająca jest przewaga studiów politechnicznych. Na ogólną liczbę 297 podań, 107 osób studiuje w Politechnice Gliwickiej, zaś na studiach politechnicznych w ogóle jest 121 studentów, włączając studentów wydziałów politechnicznych w Krakowie i we Wrocławiu. Na uniwersytetach młodzież również przede wszystkim studiuje nauki ścisłe i przyrodnicze jak matematyka, medycyna, rolnictwo. Odpływ ludzi z zawodów w przyszłości mało materialnie atrakcyjnych do przemysłu jest widoczny już w szkołach wyższych. Młodzież wybiera studia w przyszłości popłatne; ten powód niewątpliwie istnieje, ale czy jest on, jak się często słyszy, decydujący. Z powtarzających się wypowiedzi, takich jak „od najmłodszych już lat interesował mnie obecny mój rodzaj studiów" wnioskować raczej należy, że nastąpiła bezsprzeczna zmiana psychicznego nastawienia młodzieży, która skupia swoje obecne zainteresowania wokół nauk praktycznych lub empirycznych. Od analizy, zagłębiań i dociekań ucieka, na wybór studiów wpływa nie tylko rozsądek ale i trzeźwość. Charakteryzuje ona młodzież całą bez względu na jej regionalne pochodzenie.

Pewne fluktuacje dają się zauważyć już w szczegółach. Rozróżniłam wśród studentów 6 grup a to: grupę studentów Ślązaków, Zaolziaków (przyjmowano także ich podania, mimo że formalnie nie należą do woj. śląsko-dąbrowskiego), Opolan, Zagłębiaków, repatriantów i tej ludności, która napłynęła na Śląsk przed i po wojnie. Jeżeli chodzi np. o grupę studentów Ślązaków, a jest ich 86, na wydziały politechniczne zapisało się 48 studentów, co mniejwięcej procentowo odpowiada stosunkowi studentów Politechniki w innych grupach, ale w obrębie studiów politechnicznych najwięcej studentów Ślązaków zapisało się na wydział mechaniczny. Synowie górników i hutników wybierają dział studiów do pracy fizycznej najbardziej może zbliżony, dzieci śląskie osłuchane z maszyną ku niej zwracają swoją ciekawość naukową.

Studenci Ślązacy nie dają ani jednego humanisty, 2 tylko spośród 86 studiuje na wydziale mat.-przyrodn. Czterech studentów wydziału humanistycznego na ogólną liczbę 238 (59 podań wpłynęło od studentek) daje po 2 grupa Zagłębiaków i repatriantów. Z tej ostatniej też głównie wywodzą się studenci Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach, bo na ogólną liczbę 7 podań, 5 podań wnieśli repatrianci. Charakterystyczny też jest fakt, że na 8 podań, jakie wpłynęły od studentów Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, nie ma ani jednego spośród grupy śląskiej. Przyrodzone czynniki Śląska, producenta węgla, żelaza i cynku, jego stąd płynące ogromne gospodarcze znaczenie, zniwelowały ambicje artystyczne tego ośrodka, wytworzyła się pewnego rodzaju jednokierunkowość zainteresowań. Szerszy krąg wykazują pozostałe grupy.

Ze względu na wiek podzieliłam studentów na 4 grupy. Pierwszą stanowią studenci do lat 20, jest to grupa, która nie straciła wiele, względnie tylko jeden rok nauki z powodu wojny, następna grupa od 21—25 roku życia, jako obejmująca tych wszystkich, którzy przed wojną jeszcze nie zdawali egzaminu dojrzałości, trzecia grupa obejmuje studentów od 26—30 roku życia, a więc takich, którzy już mogli przed wojną rozpocząć studia akademickie i wreszcie grupę ponad lat 30. Największa ilość studiujących przypada na lata 21—25, taki jest teraz przeciętny wiek studenta 1-go lub 2-go roku studiów. W następnej grupie liczba studentów znacznie się zmniejsza, jedynie Ślązacy stosunkowo w znacznej liczbie rozpoczynają studia w tych latach, co pozostaje w ścisłej zależności od niekorzystnej sytuacji materialnej. Studentów do lat 20 jest najwięcej pośród repatriantów, bo aż osób 12 na ogólną liczbę 35, podczas gdy najliczniejsi Ślązacy mają 9 studentów, a drudzy co do liczebności Zagłębiacy (53) mają 4 studentów. Nie mają takich „młodzików" Zaolziacy i Opolanie, natomiast stosunkowo też wiele, bo na ogólną liczbę 31 z ludności napływowej jest studentów 8. Na tę najwyższą pozycję u repatriantów wpłynął niewątpliwie krótszy niż gdzie indziej okres okupacji niemieckiej, a w ogóle badając pochodzenie warstwowe tych studentów, którzy w przepisowym wieku rozpoczęli studia na wyższych uczelniach, stwierdza się, że są to dzieci prawie bez wyjątku warstwy inteligenckiej, przeważnie dzieci nauczycielstwa szkół średnich lub powszechnych.

Bardzo smutno przedstawia się stan osierocenia młodzieży, i to kiedy osieroconych po matce jest mniej niż 10 studentów, to osieroconych po ojcach jest 82, w tej liczbie 39 straciło ojców na skutek wojny.

Julia Nahorayska

„Zielone lata" w Teatrze Dolnośląskim. Na zdjęciu od lewej: I. Nowiczówna, B. Kozak, Z. Burzyńska, I. Burzyńska, M. Nowicki, A. Jakowska

Z teatrów dolnośląskich

Państwowy Teatr Dolnośląski: Zielone Lata. Komedia w 3 aktach Claude Andreé Puget. Reżyseria: Maria Leonia Jabłonkówna. Scenografia: Jadwiga Przeradzka.

Nie umiemy śmiać się beztrosko, cieszyć się radością bezpretensjonalnego humoru. Przeglądnijmy nasze pisma humorystyczne: olbrzymia większość dowcipów to zgryźliwa satyra, albo po prostu napaść (i to niestety najczęściej na słabszego), lub osobiste porachunki między literatami. Urocze pur-nonsensy Kamyczka czy Gałczyńskiego są przez wielu czytelników osądzane jako idiotyzmy. Można by ostatecznie nad sądem takich „czytelników" przejść do porządku dziennego gdyby nie fakt, że większość naszych literatów i krytyków też wyprana jest chemicznie z humoru.

Pamiętam jak nieprzychylnie przyjęto w Krakowie przezabawną komedię Fauchois „Ostrożnie, świeżo malowane", odmawiając jej dowcipu i jakiegokolwiek sensu literackiego. Tymczasem ta sama komedia doczekała się we Francji zaszczytnego wyróżnienia i została wydana przez Francuską Akademię Literatury. Widocznie „co kraj, to humor"!

Komedia C. A. Pugeta należy do tych uroczych komedii francuskich, w których wprawdzie poruszane problemy są błahe i nie warte, nie tyle świeczki, ile kinkietów scenicznych, ale lekki dowcip tekstowy i sytuacyjny każe zapomnieć o wszystkich brakach. Komedia jest tym bardziej urocza, że bohaterzy jej są w wieku „cielęcym", czy jak kto woli „szczenięcym", a ich punkt patrzenia na świat i swoista filozofia młodości są świetnie podchwycone.

Jedyna osoba dorosła, młody trzydziestoletni lotnik, który zjawia się trochę jak „deus ex machina" w jednodniowym królestwie młodzieży, stwarza powikłania, które rozwiązać może tylko swoim wyjazdem, gdyż nie umie „połapać się" w kombinacjach myślowych podlotków i ich szczenięcych „opiekunów" i po prostu nie czuje się wśród młodzieży „w swoim sosie".

Doskonale natomiast musi się czuć wśród młodzieży i świetnie rozumie jej mentalność reżyserka *Maria Jabłonkówna*, skoro potrafiła nadać „Zielonym Latom" tyle niesfałszowanej świeżości i naturalności i wydobyła z grających bardzo młodych aktorów tyle ekspresji.

„Skomplikowane tragedie" biorących bardzo „serio" swoje przygody młodych bohaterów, wygrane były lekko, bez cienia szarży, czy melodramatu.

Wśród młodych wykonawców wybiła się na pierwsze miejsce *Łucja Burzyńska* w roli Pernette Laprade. Przemiły pucułowaty podlotek rozwinął całą gamę swego niezmarnowanego talentu i wdzięku młodości.

Drugą bohaterkę komedii, małą wyrafinowaną już nieco kobietkę Mariannę Gassin zagrała nieco „za dorosłe" *Anna Jakowska*. Dobra w momentach poważniejszych, lekkie „szczenięce" sceny traktowała zbyt ciężko.

Ina Nowiczówna wlała w postać najstateczniejszej z całego towarzystwa Franciszki Gassin dużo ciepła i wewnętrznej pogody. Obaj chłopcy: Olivier Laprade i Bernard Gassin w wykonaniu *Zenona Burzyńskiego* i *Bogusława Kozaka*, szczerzy w swej sztuczności przypadkowych „panów domu" i opiekunów płci słabej, i rozhukani w niezliczonych kawałach.

Jedyny dorosły w tej sztuce *Marian Nowicki* w roli lotnika Michała Bouillet, który skutkiem przymusowego lądowania wpada w opuszczone na jeden dzień przez rodziców kółko młodzieży i staje się mimowoli ośrodkiem intrygi i przyczyną „poważnych" katastrof, doskonale prowadził błyskotliwy dialog i dobrze rozwiązał kłopotliwą postawę „rycerza przestworzy", którego okoliczności zmuszają do rywalizacji o serce podlotków z „mężczyznami" w wieku lat 20 i 17. Wyglądał tak przystojnie i uwodził uroczo, że nic dziwnego, iż rozkruszył serca wszystkich trzech bohaterek. Marian Nowicki jako Bouillet wykazał, że nawet w rolę niezbyt mu odpowiadającą potrafi włożyć wiele prawdy wewnętrznej.

Akcja komedii rozgrywa się w willi położonej na wsi w południowej Francji. *Jadwiga Przeradzka* dostosowała pełną smaku dekorację do nastroju panującego w tej sztuce opromienionej słonecznym humorem francuskim. Widok ogrodu i ginącej w górach białej serpentyny szosy kąpał się w słońcu i radosnych barwach.

Należy przyklasnąć dyrekcji Teatrów Dolnośląskich, która mimo że komedię tę traktowała bez wątpienia jako „wtyczkę" między dwie poważne pozycje swego repertuaru: „Dwa Teatry" i zapowiadany „Sen nocy letniej", wystawiła „Zielone Lata" tak dobrze i starannie przygotowane.

Wojciech Dieduszycki.

Z. Burzyński i B. Kozak w scenie z „Zielonych lat"

Kronika jugosłowiańska

Teatr amatorski — Artystyczne nagrody państwowe — Upowszechnianie książki — Stulecie poematu — Dwa zakazy

W całym państwie bardzo żywy jest rozwój amatorskich teatrów wiejskich i robotniczych, cieszących się ogromną popularnością. Pod koniec marca odbyła się w Zagrzebiu wielka konferencja związków zawodowych i członków zespołów obu teatrów miejskich, na której zawodowi aktorzy zadeklarowali patronat nad poszczególnymi zespołami amatorskimi, aby podnieść ich poziom. Rzucono tu także myśl stworzenia centralnego teatru robotniczego.

ZA działalność w dziedzinie literatury, teatru, plastyki i muzyki w okresie od początku walk o wyzwolenie do końca 1946 roku przyznał ogólnopaństwowy Komitet Kultury i Sztuki **nagrody państwowe w ogólnej sumie 1.440.000, z czego na literaturę przypada 15 nagród w sumie 595.000 din., na teatr 13 nagród w sumie 305.000 din., na plastykę 10 nagród w sumie 330.000 din., a na muzykę 7 nagród w sumie 210.000 din.** W dziedzinie literatury pierwszą nagrodę w kwocie 100.000 din. otrzymał Iwo Andrić za powieść „Most na Drinie", dwie drugie nagrody po 50.000 din. zdobyli Presihow Woranc za powieść „Jama" i Wiktor Car Emin za powieść „Danuncjada"; za poezje otrzymali nagrody po 30.000 din.: Radowan Zogowić, Iwan Goran Kowaczić, Oton Župancicz, Matej Bor, Skender Kulenowić i Desanka Maksimowić. Nestorowi piśmiennictwa jugosłowiańskiego Władimirowi Nazorowi dostała się pierwsza nagroda za pamiętnik „Z partyzantami", a nagrodzono także Branka Ciopicia za literaturę dla dzieci. W dziedzinie teatru przyznano 4 nagrody za reżyserię (Wiekosław Afrić, Bojan Stupica, Niko Miliczewić, oraz Rasza Plaowić i Hugo Klein), 5 pierwszych nagród i 4 drugie za najlepsze kreacje aktorskie (między nimi wspomniany wyżej Dujszin za główną rolę w „Świętoszku" Moliera). Spośród rzeźbiarzy (3 nagrody) pierwszą nagrodę 80.000 din. zyskał Antun Augustinczić, ten sam, który przed wojną zdobył pierwszą nagrodę na konkursie na pomnik Piłsudskiego dla Katowic. Za ten sam okres rozdzielił nadto rząd Republiki Chorwackiej 26 nagród w łącznej sumie 295.000 din. za dzieła nie wyróżnione przez nagrody państwowe. Pierwszą nagrodę w literaturze uzyskał Nazor za tom poezji „Pieśni partyzanckie". Nagrody za powieść nie przyznano nikomu, a między innymi nagrodzono także Józefa Pawiczicia „Dzieci matki ziemi", zbiór opowiadań dla dzieci.

JUŻ to w ogóle w poczynaniach, tak związkowego rządu jak i poszczególnych republik widać szczerą troskę o podniesienie i upowszechnienie kultury. W kraju od wieków tak zaniedbanym cywilizacyjnie i o tak wielkim procencie analfabetów jak zwłaszcza południowo - wschodnia połowa Jugosławii, największe wysiłki muszą iść w kierunku nauki czytania i pisania.

Akcję taką przeprowadziły w miesiącach jesiennych i zimowych związki zawodowe z niebywałym rozmachem. Zapewne analfabetyzm nie został jeszcze przez to zupełnie wytępiony choć ludność z prawdziwym entuzjazmem i szczerą chęcią garnęła się na kursy, jednak dobry początek został zrobiony. We wszystkich republikach tworzy się gorliwie większe i mniejsze biblioteki publiczne. Nawet w Cetyniu, stolicy góralskiej republiki Czarnogóry, założono z początkiem br. taką bibliotekę o charakterze centralnej biblioteki naukowej i oświatowej, która ma być organizacyjnie powiązana z przygotowywaną siecią bibliotek powiatowych i miejskich. Jest to w ogóle pierwsza biblioteka w Czarnogórze i Czarnogórcy dumni są, że posiada ona już ponad 10.000 książek, a wśród nich kilka starodruków, jak np. „Osmoglasnik" z 1493 r., pierwszą książkę drukowaną na słowiańskim południu. Biblioteka gromadzi także rękopisy, a specjalizuje się w dziedzinie literatury poświęconej Czarnogórze.

Z początkiem br. upłynęło 100 lat od pierwszego wydania „Górskiego wieńca" Piotra Petrowicia Njegosza, epicko-lirycznego poematu zaliczonego do klasycznych arcydzieł literatury serbskiej. Njegosz, czarnogórski władyka i poeta filozof (1813—1851), opiewa w nim walkę Czarnogórców wiernych chrześcijaństwu z braćmi poturczonymi, jaka rozegrała się z początkiem XVII wieku i zahamowała szerzenie się islamu wśród bitnych górali. Tak fakt ten jak i poemat odegrały bardzo ważną rolę w obudzeniu się i utrwaleniu patriotyzmu serbskiego, a sam Njegosz jest do dzisiaj jedną z najpopularniejszych postaci w Czarnogórze jako „Vladika Rade". W całej Jugosławii a specjalnie w Czarnogórze zapowiedziane są wielkie uroczystości związane z tą rocznicą. Słowieńcy zaś dopiero w br. obchodzili setną rocznicę urodzin Josipa Jurczicza, zmarłego w 1881 r. Właściwa rocznica przypadała w 1944 r. lecz okupacja włosko- niemiecka, a potem walki wyzwoleńcze i troski budowy republiki nie pozwoliły urządzić obchodu. Jurczicz nie należy do największych pisarzy, ale ma tę zasługę, że jest autorem pierwszej powieści słoweńskiej „Deseti brat" i pierwszej tragedii słoweńskiej „Tugomer", malującej walki Słowian połabskich z Frankami około 940 r. Znamienne jest, że tragedię tę pokazano po raz pierwszy dopiero w 1919 r., tj. po pierwszym wyzwoleniu, gdyż z powodu wyraźnej przeciw - niemieckiej tendencji cenzura austriacka i węgierska zabraniała wystawienia.

WRESZCIE na zakończenie wiadomość o dwóch zakazach. Oto Miejska Rada Narodowa m. Zagrzebia powzięła po krótkiej dyskusji uchwałę zabraniającą pod karą 1500 din. lub 1½ miesiąca pracy przymusowej nauczania i wykonywania tańców „Trocking", „Bigaplo", „Bougi-vougi", „Karioka" i „Lakonga" jako nieestetycznych i nie moralnych, a pod karą 5.000 din. lub 3 miesięcy pracy przymusowej uprawiania różnych form wróżbiarstwa, jak chiromancja, horoskopy, hipnoza.

W. Bazielich

Korespondencja

NIE BYŁ W SZEREGACH MAQUIS

Szanowny Panie Redaktorze!

W 18 numerze Odry z dnia 4 maja ukazało się moje krótkie opowiadanie pt. Narcyz, zaopatrzone na wstępie hotatką informacyjną o moim życiu. Ponieważ wdarły się tam pewne nieścisłości i przytoczono niektóre zdarzenia nigdy nie mające miejsca, proszę Pana Panie Redaktorze o zamieszczenie tego koniecznego wyjaśnienia. Otóż nieścisłością jest, iż brałem udział w walce o oswobodzenie Paryża, a także nie byłem w szeregach „maquis" bo do Paryża dostałem się już po zakończeniu wojny. Natomiast do dnia 5 maja 1945 roku przebywałem w obozie koncentracyjnym Gusen pod fałszywym nazwiskiem brzmiącym Ernest Zrogowski. We Francji używałem stale swego właściwego nazwiska, jedynie tylko parę utworów poetyckich udało mi się opublikować pod pseudonimem Julien Durocher. Pozwalam sobie również zwrócić uwagę na krótki życiorys, który opublikowałem w tygodniku „Wieś", a w którym sprawy te są omówione nieco szerzej.

Łącząc wyrazy szacunku, jeszcze raz proszę o opublikowanie tego krótkiego sprostowania.

Bronisław Kamiński.

MILCZ CZY ZAMILCZ

W związku z artykułem ks. F. Gryglewicza „Ewangelie i dzieje apostolskie po polsku" w 19 (76) numerze „Odry" z dnia 11 maja 1947 proszę uprzejmie o podanie następującej nieśmiałej poprawki, z której Czcigodny Autor niewątpliwie skorzysta. Zgodnie z mym dość czułym uchem polonisty tekst „Burzy na morzu" (Mk 4,35-41) powinien raczej brzmieć (od słów: „On wstał, wichrowi rozkazał"...):

„On wstał, wichrowi rozkazał, a morzu rzucił słowa:

— Zamilcz! Uspokój się!"

Ks. F. Gryglewicz przekłada: „Milcz! Uspokój się", co oddane jest zbyt ostrym językiem. Przypominają się nam zaraz lata okupacji... „Zamilcz" jest bardziej łagodne dzięki samogłosce „a" oraz podziałowi wyrazu na dwie zgłoski „zamilcz". Postać bowiem Chrystusa to ideał łagodności nawet wówczas, gdy wichrom rozkazuje.

Z poważaniem

Kamil Broszczyk
(Piła)

W najbliższym czasie wydamy specjalny powiększony szczeciński numer „Odry", bogato ilustrowany, z fotografiami J. Bułhaka.

Odbiorców na terenie Szczecina prosimy o wcześniejsze zamawianie numeru w miejscowej delegaturze „Czytelnika".

Listy z Warszawy

II.

UTARŁO się takie wśród Polaków przekonanie, że warszawiacy to naród grzeczny. I ja tak zresztą myślałem jeszcze gdzieś do niedawna. Okazuje się, że doba powojenna wprowadziła w tę piękną dziedzinę zmiany dość zasadnicze.

Exemplum.

Dzięki wysokim protekcjom dostałem zaproszenie na poranek Warszawskiej Estrady Poetyckiej. Myślicie, że z zaproszenia skorzystałem? Nie. Obraziłem się w obronie kobiet. Na zaproszeniu bowiem wypisano tak: „Recytatorzy — Henryk Ładosz, Halena Buczyńska, Zbigniew Koczanowicz".

Dlaczego Ładosz jest niegrzeczny? Dlaczego się pcha przed damy? Fe, to nieładnie. Nawet gdyby alfabetycznie, to i tak Helena przed Henrykiem, a Buczyńska przed Ładoszem.

Przypomina mi to pewien gatunek ludzi, którzy zapytani, kto był na herbatce u Bęcwalskich, wyliczają: — ano, byłem ja, byli Fiupścińscy, Dziamdziambulscy itd....

WYCHODZIĆ zaczęło nowe pismo. Zowie się „Słowo Powszechne". Dziennik usiłuje jakoś rozdmuchać płomień polemik, jak dotąd, bezskutecznie. W szranki polemiczne ze „Słowem" wystąpił jedynie... tygodnik „Dziś i Jutro". Poszło o Hochfelda. Dwie małe literki (d. h.) wystąpiły w obronie zaatakowanego przez „Słowo" posła. Dwie małe literki (niech im to dobra Bozia wybaczy) popleplały, pomlamlały, nikt nic z tego nie zrozumiał i życie potoczyło się dalej, wskutek czego czytajcie „Słowo Powszechne", jedyny w Polsce dziennik katolicki i jedyne w Polsce pismo bez telefonu.

REPERTUAR w teatrach warszawskich nie zmienia się zbyt często. W twierdzy Szyfmana przeplata się ciągle „Szkoła Obmowy" z „Penelopą" i „Oresteją". Mało tego, skrzeczy jeszcze od czasu do czasu dawno przez krytykę zerżnięta „Papuga".

Trzy i pół godziny spędzone na „Orestei" z Ajschylosem uzmysławiają nam całą wartość kultury antycznej. Bijemy się dziś z uporem o idee, wydaje nam się często, że tworzymy nowe i dopiero, gdy cofniemy się myślą do tamtych czasów, zdajemy sobie sprawę (jeśli nas na to stać), że wiele koncepcji przez nas pozornie wymyślonych świat znał już bardzo dawno.

Na Królewskiej, straż trzyma od dłuższego czasu wierny „Żołnierz Królowej Madagaskaru". Broda mu co prawda wyrosła już dość długa, ale z dziarskości mimo to stracił niewiele. Zimińska na szczęście ciągle młoda. Jest to jedyna pociecha w świadomości braku dobrze zapowiadającego się narybku aktorskiego.

Kazio Mazurkiewicz („Bój się Boga") interpeluje ojca:

— Proszę taty, a pani w Radomiu mówiła, że jak będę w Warszawie, muszę zobaczyć Orestejȩ.

— Kaziu, nie męcz ojca!

— Ale proszę taty, kiedy pani...

— Ano, skoro pani...

I poszli.

Po godzinie zaczęły się systematyczne utyskiwania dziecka.

— Tato, nie męcz Kazia! Chodźmy do domu!

Trzy i pół godziny na Orestei, to jednak długo dla zwykłego śmiertelnika. Nie wiem, czy to strawne dla mas. Wprawdzie trupów dość dużo, ale zawsze... No cóż, eksperyment. Będę się cieszył, gdy statystyka obali me podejrzenia.

Ponieważ nasi wielcy mistrzowie sceny są bardzo ruchliwi i co chwila tworzą nowe kreacje, wskutek tego oczekujemy w Warszawie premiery... „Pasażera bez bagażu" z udziałem Janusza Warneckiego.

Pozdrawiam wszystkie katowickie łazienki, bo mi za nimi tu w Warszawie tęskno.

Mieczysław Markowski

Na skutek licznych próśb Czytelników oddaliśmy do oprawy pewną ilość

kompletów „Odry" za lata 1945 i 1946

z dokładnym spisem rzeczy

KOMPLETY JUŻ SĄ DO NABYCIA

Zamówienia prosimy kierować do Administracji „Dziennika Zachodniego" i „Odry" w Katowicach, przy ul. 3 Maja 12 Telefon: 30974 i 35582

Wśród czasopism

Z okazji ujawnienia się i zarazem zniknięcia jednego z grubszych powojennych aferzystów katowickich niejakiego Mieczysława Gorączki, tygodnik **Ogniwa** zapytuje słusznie, **czy Gorączko będzie ostatni?** (nr 19). Autor artykułu zmierza równocześnie do stwierdzenia, że społeczeństwo ponosi współodpowiedzialność za tego rodzaju afery, bo znając przeszłość ich „bohaterów" nie demaskuje ich przed władzami. Innymi słowy, nie funkcjonuje u nas należycie kontrola społeczna, co umożliwia nadużycia na większą skalę.

Teza niewątpliwie słuszna. Śląsk i całe Ziemie Odzyskane mają w swoich dwuletnich dziejach do zanotowania nie jedną aferę w stylu Gorączki. Bardzo wielu różnych dygnitarzy poszło już z trzaskiem lub po cichutku do kryminału, a jeśli chodzi o Katowice, pochód ten otworzył przy wszystkich swoich kombinacjach chorował jeszcze na tytuł doktora, podobnie jak Gorączko upodobał sobie tytuł magistra. Sam mając głęboką przykrość rozmawiania z tym jegomościem kilkakrotnie w sprawach mieszkaniowych literatów ze zdziwieniem patrzyłem na herb Almae Matris w klapie jego eleganckiej marynarki. Po ujawnieniu jego wyczynów nadal o tym herbie z przykrością myślałem. Mogę powiedzieć, że mi ulżyło trochę, gdy dowiedziałem się, że nosił go prawem kaduka. Ale w rejestrze aferzystów śląskich z ostatnich dwóch lat mieliśmy i licznych takich, którzy do tytułów tych mieli dyplomowe prawo. To jest szczególnie niesmaczne. Bo jeśli zdarzają się liczne nadużycia wskutek nieumiejętności stosowania nadzoru i nieumiejętności kierowania instytucją czy przedsiębiorstwem przez ludzi bez kwalifikacji naukowych i fachowych, to wiadomo, że się z tego czasem wyleczymy. Jeśli natomiast fakt taki zachodzi na skutek świadomych działań ludzi z wysokim cenzusem intelektualnym, to rzecz jest znacznie poważniejsza.

Autora artykułu wstępnego w **Ogniwach** można zapewnić, że Gorączko nie jest ostatni tak jak nie był pierwszy. Ale też apel o szeroką kontrolę społeczną jest tutaj tylko częściowo słuszny. Prowadzić przy tym może do wielu nadużyć, które też już miały miejsce. Na szeroką opinię społeczną składają się opinie jednostek, które nie zawsze umieją ponosić odpowiedzialność za słowo mówione czy pisane. Na marginesie artykułu **Ogniw** warto natomiast postawić postulat kontroli społecznej na wyższym szczeblu, kontroli na szczeblu czynników dających ludziom mandaty i mandaty te swoim autorytetem popierających. Chodzi szczególnie o partie polityczne, organizacje i Związki Zawodowe. Jest powszechnie przyjęte, że do każdej organizacji nowy członek zostaje wprowadzony, że ktoś go poleca, ktoś za niego ręczy, że tę opinię sprawdzają i ustalają jej wartość ci, którzy o przyjęciu w szeregi członków ostatecznie decydują. Ludzie nieodpowiedzialni kompromitują wobec społeczeństwa swoich mandatariuszy, osłabiają siłę oddziaływania ich ideologii, niweczą ich propagandę. Więc i we własnym dobrze pojętym interesie poszczególnych organizacji taka kontrola jest konieczna. Jest ona tym bardziej niezbędna, że poparcie organizacyjne zwłaszcza ze strony czynników partyjnych czy związków zawodowych jest dzisiaj w społeczeństwie głej tem, który kwestionuje się bardzo niechętnie i pod naciskiem ostatecznej konieczności, nie zawsze z wiarą w skuteczność tego kwestionowania. Głos publicysty z **Ogniw** jest zatem o tyle słuszny, że nakazuje nam domagać się większej ostrożności i precyzyjności w rozdawnictwie mandatów przez partie i związki zawodowe przy silnym nacisku kontrolnym w czasie sprawowania już samego mandatu przez jednostkę. Liczne przykłady z Ziem Odzyskanych wskazują, że tego często zaniedbywano. Jeśli natomiast chodzi o niższe szczeble kontroli społecznej, to prowadzić ją powinni przede wszystkim członkowie poszczególnych, udzielających mandatów organizacji w stosunku do osób obdarzonych publicznie przez ich stowarzyszenia zaufaniem. Niech członkowie poszczególnych partii i związków pilnują, jak wywiązuje się ze swoich zadań ich ten czy inny działacz, niech z ujemnych spostrzeżeń natychmiast czynią właściwy użytek. To będzie skuteczniejsze, szybsze, prostsze i bardziej dokładne.

Ale wróćmy do spraw przyjemniejszych. **Odrodzenie**, które nie pozwoliło sobie wyrwać prymatu w polskim czasopiśmiennictwie literackim, i można śmiało powiedzieć, że na konkurencji dużo zyskało, a w Warszawie czuje się doskonale, zapowiada na 22 lipca swoją drugą już nagrodę literacką, której wysokość tym razem ustalono na 250.000 zł. Kawał grosza, naprawdę ładna nagroda, nad którą trzeba się jednak będzie trochę w tym roku pogłowić. W zeszłym roku jury miało łatwiejsze zadanie. Z tym większą niecierpliwością wyczekiwać będziemy jego decyzji. Nagroda literacka **Odrodzenia** zastępuje nam narazie nagrodę państwową (na którą, jak wieść niesie, komisja dla spraw kultury i sztuki w sejmie ma zamiar uchwalić aż 45.000 zł). W tym roku o nagrodzie **Odrodzenia** decydować będą: Maria Dąbrowska, Anna Kowalska, Jan Parandowski, Stanisław Pigoń, Leon Kruczkowski, Wacław Kubacki i Karol Kuryluk. Przyznanie tej nagrody w dniu 22 lipca skróci nam okres ogórkowy w życiu kulturalnym. Jeśli natomiast chodzi o samo pismo, stało się ono bardziej interesujące i żywe niż za czasów krakowskich, przez co silniej zbliża się do pewnego ideału, jaki unosi się nad głowami naszych redaktorów pism literackich, do przedwojennych **Wiadomości,** które w **Nowinach literackich** mają tylko bardzo powierzchowne odbicie. Wbrew oczekiwaniom udała się **Odrodzeniu** nawet **Camera obscura,** która prowadzona jest umiejętnie, nastawiona jest więcej na wychwytywanie gaff myślowych niż stylistycznych i językowych i ma w zestawieniu z analogicznymi rubrykami w innych czasopismach swoje własne oblicze.

Liczne nagrody literackie, jakie w ostatnich dwóch latach u nas ustanowiono, są zjawiskiem pożytecznym. To nic nie szkodzi, że trochę się spospolitowały i że w Krakowie podobno palcami pokazują takiego literata, co nagrody jeszcze nie otrzymał. Zachowały wartość specjalnego wyróżnienia, a przede wszystkim niezmienna jest ich wartość jako konkretnej pomocy materialnej udzielanej pisarzom, pomocy tak potrzebnej i przynoszącej pozytywne rezultaty. Tej drugiej wartości bynajmniej lekceważyć nie należy wobec pogarszającej się mimo wszystko sytuacji materialnej pisarza, o czym trafnie pisze **Wojciech Natanson** w **Nowinach Literackich** (nr 9), o czym informował też szerzej w tym samym tygodniku wcześniej **Juliusz Żuławski.** W okresie, gdy rodzą się w jakichś tępych pałach w Łodzi pomysły obniżenia honorariów autorskich do 2% wartości sprzedażnej książki, może się zdarzyć, że pisarz będzie więcej liczył na nagrody niż na honoraria za swoją pracę. Bo sytuacja jest taka: papier idzie w górę (w myśl hasła „nadpoziomy wylatuj"), koszty druku również i to co kilka miesięcy, inne koszty handlowe wydawcy nie pozostają w tyle, natomiast regularny i systematyczny spadek wykazują nakłady i wynagrodzenia autorskie. Zwłaszcza notujemy dziwne zamiłowanie do usiłowań w tym ostatnim zakresie.

Dlatego zjawiskiem pocieszającym jest, że akcja nagród artystycznych nie osłabła w Krakowie, że pamięta o niej Poznań, że nie pozostają w tyle inne miasta, że w tym roku nie zaniedbają się chyba także i Katowice, na które termin przypada podobnie jak na **Odrodzenie** w dniu 22 lipca. (ki)

P. S. Byłbym zapomniał, że obraziła się na nas stołeczna (wychodzi w Łodzi) **Wieś,** która z pogardą pisze o „prowincjonalnej" **Odrze,** z pogardą taką, jakby chciała pytać: cóż ty chamie z Brzuchani mnie się czepiasz? Ponieważ ob. P. Ch. z tego tygodnika (umiejący liczyć tylko do 3, bo nasze pismo kosztuje 15 zł, a nie 3 grosze) jako najważniejszego argumentu używa rozszyfrowanie mojego kryptonimu, nazywając mnie „panem Powąchaj" i posądzając mnie, że rozmawiam z „panami Pocałuj" i ponieważ nic z tego niestety nie rozumiem, pozostawię tę sprawę w spokoju, na jaki zasługuje, jako jeszcze jeden dokumencik legitymujący mój sąd o wzmiankowanym tygodniku „społeczno - literackim", który niegdyś cieszył się uznaniem. (ki)

W najbliższych numerach „Odry" ukażą się m. in. prace Stan. Kolbuszewskiego, Stanisława Helsztyńskiego, Wojciecha Żukrowskiego, ponadto w specjalnym numerze szczecińskim prace pisarzy i publicystów szczecińskich.

Z życia teatralnego w Szczecinie

Po dziesiątej premierze „Komedii Muzycznej"

Najwięcej ożywienia w życie kulturalne Szczecina wnosi teatr. Każda premiera zarówno „Komedii Muzycznej" jak i „Małego Teatru" daje materiał do ożywionej dyskusji nawet wówczas, gdy wystawiona sztuka niewiele nastręcza istotnych refleksji. Tak było z „Subretką", a obecnie z „Janem", komedią Bus-Feketego wystawioną przez „Komedię Muzyczną". Dlaczego wystawiono tę właśnie komedyjkę, to pozostanie tajemnicą repertuarową wspomnianego teatru. Są wprawdzie tacy, którzy dopatrują się w tej sztuce głębszego problemu i aktualności. Jakże bowiem — mówi się tu przecież o socjaliźmie, o wyzysku klasy robotniczej, co więcej — triumfuje przedstawiciel uciskanej klasy, a nie potomek arystokratycznej rodziny! Wszystko to jednak tylko pozory. Bogaty hrabia zostaje wybrany głosami konserwatystów na premiera rządu, a jego kamerdyner, głosami partii socjalistycznej, na posła do parlamentu. Aby utrzymać za wszelką cenę to, pewnego rodzaju, qui pro quo, kamerdyner zostaje nadal kamerdynerem w pałacu hrabiego, a jednocześnie pełni w parlamencie funkcję posła. W pałacu jest nienagannym sługą swego pana, w parlamencie zawziętym przeciwnikiem hrabiego. Na tak zarysowanym farsowym konflikcie zaczyna się i kończy cała „aktualność", a przede wszystkim „problemowość" sztuki. Pomysł ten bowiem, to tylko *pretekst dla autora,* ażeby przedstawić zabawne sytuacje, wynikające z tej intrygi. Dalszy sens sztuki przewekslowuje autor zręcznie na tory komicznych perypetii i, naturalnie, wątku miłosnego, aby nam pokazać, jak to piękna córka hrabiego, zniechęcona do swego męża, który jej nie kocha, przenosi swoje uczucia na kamerdynera. Wszystko kończy się, rzecz jasna, miłosnym happy-andem. Tak to czasem i poważne zagadnienie społeczne może posłużyć płytkiemu, ale zręcznemu autorowi, do epatowania publiczności głębią pozorów.

Jeżeli chodzi o wykonanie tej sztuki, to należy podkreślić, że zagrana została dobrze i tej właśnie grze zawdzięcza swoje powodzenie. Główną postać, owego właśnie kamerdynera, Jana, odtworzył doskonale *p. Artur Młodnicki.* P. Młodnicki pokazał, że rozporządza dużą skalą możliwości artystycznych, dając, w przeciwieństwie do swego pierwszego wystąpienia w „Subretce", opanowaną, pozornie zimną i inteligentną sylwetkę człowieka o dwu twarzach: kamerdynera „comme il faut" i człowieka, zdobywającego serce pięknej hrabianki. Jego oponent w parlamencie, hrabia, w wykonaniu *p. Daszewskiego,* zawiódł nieco pokładane w nim nadzieje. P. Daszewski nie wniósł nic interesującego i nowego do tej roli, powtarzając raczej te maniery artystyczne, jakie widzieliśmy w jego rolach dystyngowanych, i zblazowanych jednocześnie, hrabiów. *P. Czosnowska* miała wiele szczęśliwych momentów w interpretacji roli dumnej i pięknej hrabianki, przezwyciężającej kastowe poglądy, aby się połączyć z ukochanym człowiekiem. Na ogół jednak role tego rodzaju nie należą do jej „genru". Znaczny rozwój niewątpliwego talentu scenicznego wykazała *p. Zofia Stanisławska* jako pobłażliwa, nie widząca świata poza swym lekkomyślnym mężem, żona hrabiego. Pani Stanisławska pokonała już szczęśliwie pewną sztuczność i poprawność debiutancką, jaka ją jeszcze cechowała w „Subretce". Nieprzeciętnym talentem scenicznym w charakterystycznych rolach komediowych jest *p. Wesołowski,* który potrafił z fragmentycznej postaci drugiego kamerdynera wydobyć niewielu gestami i słowami maksimum humoru. Wyrazić należy żal, że widzimy tego aktora tak rzadko na scenie. *Pani Zarembianka* nie wniosła nic szczególnego do poprawnie zagranej roli pokojówki. *P. Rybicki,* jako lekkomyślny mąż pięknej hrabianki — tym razem — słaby. Natomiast *p. Koczoń* jako dr Kovads okazał się i tym razem zupełnie surową postacią sceniczną.

Sztuka Bus-Feketego „Jan" jest *10 premierą „Komedii Muzycznej".* W związku z tym 10 „premierostwem" warto zrobić *mały bilans dotychczasowego repertuaru,* aby zorientować się, w jakim kierunku szedł, względnie w jakim powinien iść program teatralny. Jak wiadomo, „Komedia Muzyczna" wystawiła dotychczas następujące sztuki: „Przeprowadzkę", „Rozkoszną dziewczynę", „Moją siostrę", „Gałganka", „Zemstę", „Pannę Maliczewską", „Mariusza", „Męża pognębionego", „Subretkę", „Jana". Jak z tego zestawienia wynika — *na 10 sztuk wystawionych znajdujemy tu aż 7 obcych, a tylko 3 polskie!* Nasuwa się pytanie, czy ten stosunek 3 sztuk polskich do 7 obcych jest właściwy? Odpowiada na to okólnik Ministerstwa Kultury i Sztuki, żądający od wszystkich teatrów w Polsce, a więc także i od „Komedii Muzycznej", ażeby wystawiać co najmniej w trzech piątych sztuki polskie, a tylko w dwóch piątych obce. Stosując tę zasadę do „Komedii Muzycznej" musimy, niestety, stwierdzić, że na razie żądanie Ministerstwa Kultury i Sztuki pojęte jest w tym reprezentacyjnym teatrze szczecińskim *wprost odwrotnie.* Brak sztuk polskich nie da się tu w żadnym wypadku usprawiedliwić nawet względami materialnymi. Wystarczy w tym wypadku wskazać na „Teatr Mały" w Szczecinie, który, mimo wielu trudności materialnych, wystawił dotychczas *na 11 sztuk aż 9 premier polskich.* Dalsze zastrzeżenie wywołuje fakt, że wśród tych 7 obcych sztuk co najwyżej tylko dwie są sztukami poważnymi, reszta zaś to lekkie komedie w rodzaju wystawionego „Jana".

Stanisław Telega

Krótkie spięcia

Kolej na Fredrę

„Czas już jednak najwyższy skończyć z Fredro, jako wyrazicielem „tradycji narodowej" — zwłaszcza jeśli idzie o, notabene, uważany za punkt szczytowy owego wyrazu, „Zemstę".

Któż to tak pisze i któż to odmienia Fredrę tak, jak niektórzy goście z głębokiej prowincji słowo „kino" lub „radio"? Któż to nawołuje do „skończenia" z „Fredro", tak jakby chodziło np. o walkę z nierządem, lub o tępienie bandytyzmu...?

Czyni to niejaka pani St. Zielińska w częstochowskim „Głosie Narodu" z okazji wystawienia przez miejscowy Teatr Wielki „Zemsty". I pani Zielińska, snując swe rozważania na temat tejże „Zemsty" i Fredry, dochodzi w dalszym ciągu do następującej konkluzji:

„Bo cóż to jest „Zemsta" — 2 niesamowitych próżniaków, na czyj koszt żyjących, możemy się domyśleć, nie może się pogodzić ze sobą w jednym z zamku, którym władają do połowy. Jednemu podoba się odgrodzić murem od nielubianego sąsiada, drugi zaś, aby zrobić na złość współlokatorowi, stawiać muru nie pozwala. I o to trwa burza przez całe cztery akty..."

Słusznie, kochana pani Zielińska, bardzo słusznie...! Bo cóż to jest „Zemsta"...? Dwóch niesamowitych próżniaków, i tyle. Ba — ale „Zemsta", to jeszcze nic! Cóż to są na przykład takiego „Śluby panieńskie"? Kilka zwariowanych panien ślubuje, że nie wyjdzie za mąż, i dla takiej głupiej historii męczą się aktorzy na scenie przez szereg aktów! Albo taki „Pan Jowialski"! Cóż to jest ten cały „Pan Jowialski"? Starszy facet gada znowu przez szereg aktów jakieś przysłowia i dykteryjki i na tym koniec. No, a „Damy i Huzary"? Parę bab i paru wojskowych, coś tam głędzi też przez kilka aktów po to, aby w końcu się pobrać... Potrzebne to komu, czy co...? A „Dożywocie"? A „Mąż i Żona"? A „Pan Geldhab"? A „Gwałtu, co się dzieje!"? A „Odludki i Poeta"? A „Cudzoziemszczyzna"...? A — i td., itd.? Wszystko to przecież są tylko historyjki o niesamowitych próżniakach, którzy przez wiele aktów (razem wziąwszy, to nawet przez bardzo wiele aktów) nic nie robią, lecz tylko załatwiają jakieś tam swoje sprawy.

Dalipan — czas najwyższy skończyć z „Fredro"!

Wróćmy jednak do „Zemsty", czyli do tej obskurnej historii o dwóch niesamowitych próżniakach. Pani Zielińska, jak przystało na wzorową recenzentkę, streszcza dalej dokładnie całą treść sztuki (wiadomo przecież, że z tą treścią w szkołach nikogo jeszcze nie zaznajamiano) i stwierdza w końcu tego rodzaju rzecz:

„W „Zemście" nie ma ani jednej postaci dodatniej — młodzi są bezbarwni, nie wiemy o nich nic poza tym, że są zakochani, majordomus Dyndalski nic nam od siebie nie mówi, a lud — Fredro pokazuje nam dwóch murarzy — straszliwych półgłówków i sługusów, którzy z prawdziwą satysfakcją trudnią się wyrzucaniem za drzwi nieproszonych gości swoich panów."

A to ci drań ten Fredro! Ani jednej postaci dodatniej! No wiecie, Państwo, to doprawdy świat się kończy! Cóż on sobie właściwie wyobrażał, ten ów cały Fredro? Nie mógł to przedtem poradzić się kochanej pani Zielińskiej i kazać np. Cześnikowi powiedzieć:

„Przepraszam bardzo wszystkich, że nie jestem dla kochanej pani Zielińskiej postacią dodatnią, ale ten więc cholera Fredro takiego już mnie zrobił, i na to niestety nie mam żadnej rady! Proszę interweniować więc na tamtym świecie!"

Albo nie mógł on z murarzy, zamiast półgłówków, zrobić filozofów, a z sługusów dystyngowanych chevalierów? A czy było dla niego rzeczą taką trudną kazać Wacławowi i Klarze nie kochać się, lecz cały czas grać w ferbla lub układać plan podróży babci dookoła stołu...?

Cóż jednak robić — Fredro, zwyczajny frajer, wcale nawet o tym nie myślał i dlatego tak bardzo kochanej pani Zielińskiej się nie spodobał. Wobec powyższego czas na prawdę najwyższy z nim skończyć!

Ale Fredro nie tylko kochanej pani Zielińskiej się nie spodobał. Nie spodobał się również niejakiemu p. S. Folfasińskiemu, który w recenzji, zamieszczonej w częstochowskim wydaniu „Trybuny Robotniczej" napisał ex re tejże częstochowskiej „Zemsty" tak:

„Pytanie zasadnicze streszcza się, czy twórczość np. Fredry, który zajmuje tak ważną pozycję w polskim komediopisarstwie, jest zalecany przez Ministerstwo i tak bardzo ceniony przez wielu ludzi sceny i profesorów uniwersytetu, na prawdę odpowiada współczesnemu społeczeństwu, użycza mu istotnych przeżyć artystycznych, uczy go, czy daje mu odpowiedzi na dziesiątki dręczących je pytań.

...Twórczość Fredry nikogo właściwie nie pociąga, nikogo nie interesuje, a przecież zgódźmy się z tym, że widza nie można lekceważyć.

...Rozumiemy, jak ważną sprawą dla kultury polskiej jest utrzymywanie mitu o żelaznym repertuarze teatru polskiego. Ale — znowu należy zapytać, za jaką cenę? Kosztem czyim?"

...Cóż daje „Zemsta"?...

Ach, rzeczywiście — racja, święta racja, kochany panie Folfasiński. Czy twórczość Fredry daje współczesnemu społeczeństwu odpowiedzi na dziesiątki dręczących je pytań? Skądże! Czy daje ona np. odpowiedź na pytanie — po czemu jutro będzie kilo masła? Nie, gdzie tam! Albo na pytanie, którędy najlepiej jechać z Mławy do Szczecina? Też nie! A na pytanie, czy należy palić papierosy monopolowe? Również nie!

Czy więc w tych warunkach twórczość Fredry może kogoś pociągać, może kogoś interesować? Nie!

Precz zatem z żelaznym mitem o żelaznym repertuarze teatru polskiego i precz z Fredrą!

Popierajmy natomiast twórczość kochanej pani Zielińskiej i kochanego pana Folfasińskiego z Częstochowy.

Albowiem — cóż daje „Zemsta"...?

G... proszę Państwa!

NIEJAKI X.

Felieton sporadyczny

Nie chcę naśladować ani Antoniego Słonimskiego, ani też jego dzisiejszych potomków Hochfelda, czy Dobrowolskiego z „Nowin Literackich". Ale jeśli co pewien czas, zapsioczę sobie na szpaltach poszerzonej (złośliwi mówią: wylanej!) „Odry" o tym i o owym, to skorzystam jedynie z gościnności pisma (ph. powie: zbyt gorliwej gościnności). Zaczynam pisać ten felieton prawie w tym czasie historycznym, kiedy Stasio Piętak już podpisał umowę o wydanie drugiego i trzeciego tomu „Jasia Kunefała". Opracowywanie dalszych tomów „Jasia Kunefala" jest chyba na warsztacie... całość, tj. siódmy i dziewiąty tom wyjdą prawdopodobnie już w roku 1967. Ostatni zaś tom „Jasia" będzie poświęcony wyłącznie melioracji rolnej na Ziemiach Odzyskanych. Ale, jeśli już mowa o rekordach, to trudno nie wspomnieć prócz Polski... zarazem także i Ameryki. I to nie z tego powodu, że 99% członków ZZLP nie otrzymało dotąd tych wspaniałych paczek „penclubowskich" z Ameryki i tylko takie sprawozdania nadsyła na ręce prezesa polskiego Penclubu J. Parandowskiego. Zaimponowało mi coś innego... poprawiam się: ktoś inny. Jest to stary nasz warszawski znajomy... imć pan Tadeusz Gronowicz. Zaraz, zaraz... tylko sobie przypomnijmy, jaki to krzyk i rwetes powstał wokół jego osoby, kiedy przedwojenny Fundusz Kultury Narodowej przyznał „futurystycznemu poecie" — tak się sam nazywał — stypendium literackie na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Zrzędziło o tym wiele „Prosto z Mostu", pomrukiwały „Wiadomości Literackie"... ale mimo wszystko Gronowicz pojechał... no i dojechał do wymarzonej Ameryki. Pisał się wtedy rok 1939, „futurystyczny poeta" nazwany przez literacką prasę warszawską po prostu grafomanem, dowiedział się pewnego dnia już z amerykańskich „News'ów"... że w Polsce to, panie dobrodzieju, z Funduszem Kultury Narodowej stał się już koniec! Bo działania wojenne... i poczta do Polski w ogóle już nie jest przyjmowana. I jak tu teraz żądać przedłużenia stypendiów na dalszy rok? Wprawdzie w kieszeni polskiego stypendysty był jeszcze jakiś zasób dolarów — ale co dalej, co za pół roku? Jeśli już do Warszawy nie mogę pisać, to będę pisał inaczej. I nie długo się zastanawiając, Gronowicz prędko przekreślił rozpoczęty list do ówczesnego dyrektora Funduszu Kultury Narodowej pana Michalskiego i wypisał pod spodem przekreślonych rządków — na tej samej ćwiartce papieru... z namysłem i powoli:

„NARODZINY MIŁOŚCI ADOLFA HITLERA"
powieść.

Jak tam dalej było z pisaniem to nie wiadomo... ale nagle w roku 1942 w przekładzie amerykańskim, wychodzi powieść Gronowicza — tytuł, jak powyżej. Powieść-makabra, poziom literacki prawie na wyżynie erotycznych zachcieweк, znanych z przedwojennej „Camery obscury". Jest w tej powieści i Adolf Hitler i jego żona Ewa. O tej Ewie nie powiedział już nic autor, że jej właściwe nazwisko brzmiało: Braun. I są — a jakże — alabastrowe ramiona hetery i nieprzyzwoite przeciąganie się w łóżku. A potem trucizna i morderstwo. On i ona. Adolf i Ewa. I tak się kończy ta „powieść". Ale jeszcze nie koniec na tym. Bo przecie autor, jakby drugi Osowiecki, przewidział już w roku 1942, że właśnie Adolf zawrze małżeństwo z Ewą i z nią popełni samobójstwo.

A w roku 1945 powieścidło Gronowicza bite jest w setkach tysięcy egzemplarzy... powieść czytana jest nie tylko w Chicago, New Yorku, czy Meksyku... ale poza Stanami Zjednoczonymi także i w całej Anglii i licho wie gdzie jeszcze... czyta ją każda stenotypistka, każdy urzędniczyna. W ogóle owczy pęd Anglosasów. Zaś Tadeusz Gronowicz jowialnie się uśmiecha, bo dotychczasowe honorarium z tej powieści osiągnięte przez jej autora, wynosi już ponad milion dolarów!

A niedalej jak wczoraj wręczył mi listonosz jakiś pakuneczek. Z Ameryki. Rozpakowuję i patrzę... książka. Widnieje na niej bardzo skromny tytuł: „The Piast"... autor: Tadeusz Gronowicz!

Doradźcie czy mam tę nową książkę Tadeusz Gronowicza przeczytać?

O tę radę apeluję w szczególności pod adresem kolegi-wierszopisa, ukrywającego się pod kryptonimem - ph - (Paweł Hertz?) na łamach łódzkiej „Kuźnicy", który podobno jest specjalistą w wyszukiwaniu ghett literackich w Polsce?

AMELIN VONDER.

Tydzień Katowic

12. 5. — 18. 5. 1947

ŻYCIE LITERACKIE I MUZYCZNE

12. 5. W ramach poniedziałkowych odczytów Klubu Literackiego odbył się odczyt Ryszarda Bukowskiego o Szopenie i Szymanowskim. Odczyt ilustrowany był kompozycjami Szopena i Szymanowskiego. Zbigniew Śliwiński, słuchacz Wyższej Szkoły Muzycznej grał Szopena: polonez S-mol, scerzo B-mol, nocturn G-mol, mazurek A-mol i etiudę E-dur. Jerzy Kiełbasiński, uczeń Liceum Muzycznego grał Szymanowskiego etiudę B-mol.

14. 5. Z inicjatywy Polskiego Czerwonego Krzyża odbył się w sali Filharmonii w Katowicach, przy ul. Sokolskiej 2, koncert zespołu orkiestralnego „Lutnia". Wykonano fragmenty polskiej muzyki symfonicznej oraz operowej. Współudział w części operowej wzięli: Wiktoria Calma i Jerzy Garda. Dochód z koncertu przeznaczono na sanatorium PCK dla dzieci gruźliczych w Rabce.

17. 5. W świetlicy „Pocztowiec" przy ul. Pocztowej 9 odbył się wieczór poświęcony twórczości Szopena i Norwida. Po prelekcjach o Norwidzie E. Müllera i J. Bułakowskiej wykonano w części koncertowej Szopena polonez S-mol, mazurek A-mol, scherzo b-mol (Zbigniew Śliwiński), oraz recytacje utworów poetyckich Norwida (Jerzy Bielecki).

18. 5. Odbył się koncert filharmoniczny w sali Filharmonii, na który złożyły się dwie uwertury: A. Thomasa „Raymond" i Fr. Suppe „Lekka kawaleria", P. Mascagniego „Intermezzo sinfonice", J. Offenbacha „Intermezzo i barkarola", Z. Kadaly'ego „Czardasz" i P. Czajkowskiego walc z op. „Eugeniusz Onegin". Solistą był Paweł Święty, który wykonał z towarzystwem orkiestry romans skrzypcowy op. 26 J. Svendsena oraz z towarzyszeniem fortepianu P. Szanrasate Malaquena i H. Wieniawskiego „Tarantellę". Orkiestrę Państwowej Filharmonii prowadził Witold Krzemieński. Akompaniowała Irena Kozłowska.

NAUKA

16. 5. W Instytucie Śląskim w Katowicach przy ul. Warszawskiej 37 w ramach organizacyjnych Towarzystwa Przyjaciół Nauk wygłosił prelekcję dyr. Roman Lutman pt. „Upadek czy odnowa cywilizacji europejskiej".

TEATR

17. 5. W teatrze im. St. Wyspiańskiego święcono podwójną uroczystość. Jubileusz 50-letniej pracy artysty Mariana Bieleckiego oraz jubileusz 50 przedstawienia sztuki Szaniawskiego „Dwa Teatry".

Z Opery Śląskiej

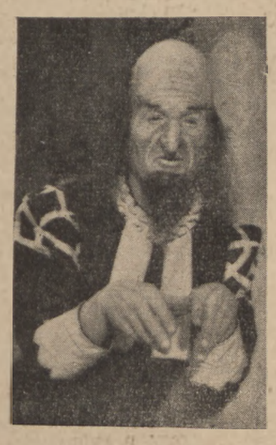

G. Rossiniego „Cyrulik Sewilski". Z lewej Antoni Majak jako Basilio, z prawej Włodzimierz Lwowicz (Bartolo)

Ruch wydawniczy

SZKIC, REPORTAŻ, NAUKA

Michał M. Borwicz: PIEŚŃ GINĄCYCH. Z dziejów twórczości Żydów pod hitlerowską okupacją. Kraków 1947. Centr. Kom. Żyd. Hist. Stron 55.

Odbitka wstępu do antologji „Pieśń ujdzie cało".

Sac. Dott. Eugenio Dąbrowski, parroco di Varsavia: LA FRONTIERA FRA POLONIA E GERMANIA. Roma 1947. De Carlo Editora. Stron 23.

Książeczka w języku włoskim znanego publicysty tygodnika „Dziś i jutro", uzasadniająca konieczność przyjęcia linii Odry-Nysy jako jedynej możliwej granicy między Polską a Niemcami.

Stan. R. Dobrowolski: WOLNOŚĆ ALE JAKA? „Książka" 1947. Stron 124. — Zbiór artykułów drukowanych w prasie polskiej po wyzwoleniu.

Irena Drozdowicz-Jurgielewiczowa: Z ZAGADNIEŃ DYDAKTYKI DOROSŁYCH. Warszawa 1947. Ludowy Inst. Ośw. i Kult. Stron 82. — Podstawowe zagadnienia dydaktyki dorosłych. Uczelnie dla dorosłych. Pracownik oświatowy. Najważniejsze wiadomości bibliograficzne według tematów.

KONSTYTUCJA REPUBLIKI FRANCUSKIEJ uchwalona przez konstytuujące Zgromadzenie Narodowe dnia 29 września 1946 r. Przełożył i przedmową opatrzył dr Andrzej Mycielski, prof. Uniw. Wrocławskiego. „Księgarnia Akademicka". Wrocław 1947. Str. 32.

Maria Jarochowska: LUDZIE, KTÓRYM NIE STAWIA SIĘ POMNIKÓW. „Książka" 1947. Stron 185.

Zbiór szkiców i reportaży w większości na tematy Ziem Odzyskanych, drukowanych poprzednio w czasopismach, także i w „Odrze". Zamieszczone w zbiorze reportaże literackie zaliczyć można do najlepszych osiągnięć w tym rodzaju literackim.

Ignacy Narbutt: LUDZIE I WYDARZENIA. „Książka" 1947. Stron 116. — Zbiór szkiców zawierający dość jednostronną kronikę walki o wyzwolenie narodu.

Stefania Podhorska-Okołów: ŚW. WOJCIECH A POLSKA. Częstochowa 1947. Stron 30. Skromna broszurka zaopatrzona w imprimatur władzy duchownej była jedyną publikacją nieperiodyczną na uroczystości świętowojciechowe.

Zygmunt Szymański: JAROSŁAW DĄBROWSKI. „Czytelnik" 1947. Stron 78. Szkic o „komendancie Paryżu", tej niecodziennej postaci naszej historii. Cenny przyczynek do dziejów naszej demokracji.

Antoni Trepiński: OD SAN DOMINGO DO CASSINO. Wyd. Tad. Wilczyński. Kraków 19947. Stron 165. 5 wkładek artyst., rysunki Zygm. Loreca.

Paralela historyczna między czynem spod Cassino a bojownikami spod Somo-Sierry, Saragossy i z San Domingo.

POWIEŚĆ I OPOWIADANIE

DUCH PUSZCZY. Opracował Wł. L. Anczyc, Wyd. XV z 6 rycinami. Gebethner i Wolff. Warszawa 1947. Stron 226.

Juliusz Kaden-Bandrowski: MIASTO MOJEJ MATKI. Gebethner i Wolff. Stron 143.

Frances H. Burnett: MAŁY LORD. Powieść dla młodzieży. Wyd. XI. Gebethner i Wolff. Stron 208.

Nowe wydania wartościowych i poczytnych książek dla młodzieży. Ilość wydań najlepiej świadczy o poczytności. Wydanie staranne (kartonowa oprawa) zachęca do tym gorliwszego upowszechniania książek wśród młodzieży.

Balzac: EUGENIA GRANDET. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Boy. „Książka". Stron 216.

Dalszy tom z cyklu „Komedia ludzka", wznowionego chwalebnie przez Spółdzielnię Wyd. „Książka".

Anatol France: WSPOMNIENIA MOJEGO PRZYJACIELA. Tłum. Gabriel Karski. „Książka". Stron 208. Dalsza cenna pozycja wydawnicza „Książki".

Zofia Kossak: GRÓD NAD JEZIOREM. „Czytelnik". Wyd. II. Stron 142.

Zofia Kossak: PUSZKARZ OBRANO. Wyd. II. „Czytelnik" Stron 219.

Nowe wydania mniej znanych powieści znakomitej pisarki.

Stanisław Kowalewski: OFIAROWANIE. Opowiadania. „Czytelnik" 1947. Stron 190.

Tadeusz Kryswan: DWIE MIŁOŚCI. „Awir" Katowice 1947. Stron 189.

Irena Krzywicka: RODZINA MARTENSÓW. „Czytelnik" 1947. Stron 190.

Pierwszy tom cyklu powieściowego „Skuci i wolni" o tematyce roku 1885.

Zofia Nałkowska: ROMANS TERESY HENNERT. Wyd. III. „Książka". Stron 212.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 30173